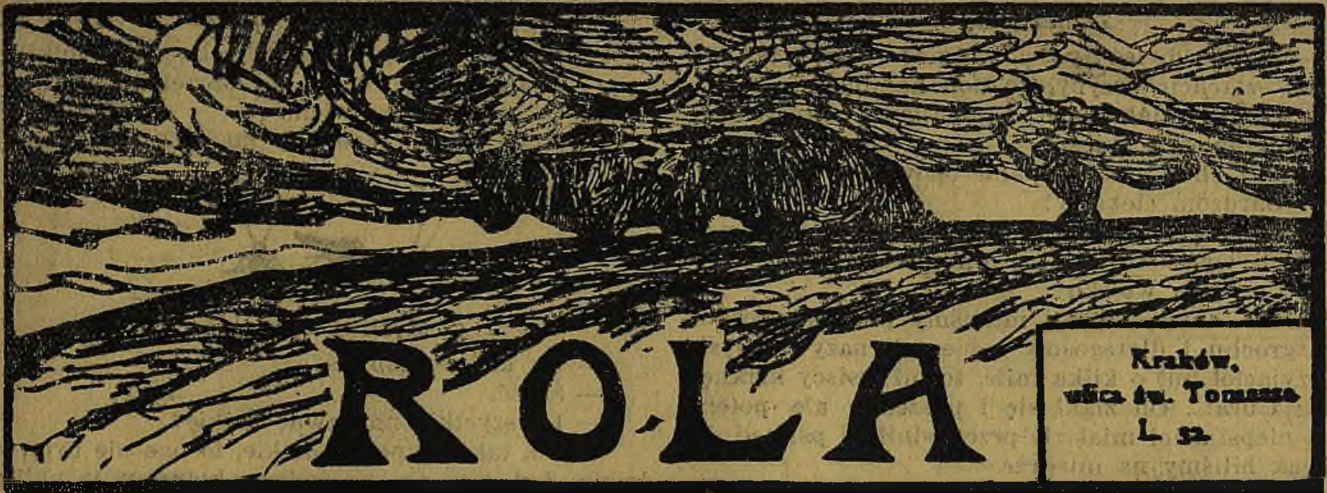
Numer 51. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 21 Grudnia 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Znaleźli się.

— Żydzie, byłeś ty na wojnie? — zapytał się pewien szlachcic przybyłego doń handlarza.

— Co nie miałem być!?... Ja nawet zginąłem!

— Zginąłeś a żyjesz?

— Ny! chce pan, to panu opowiem.

— Bardzom ciekawy!

— Jak się zrobiła wojna, to pan burmistrz nas wsistkich wymustrował na pikuniersy...

— Co to za wojsko?

— Na co wojsko! Mi mieliśmy piki od tyczkowego grochu i dlategośmy sobie tak nazywali, jak nieprzyjaciół buł o kilka mile, to mi wsiscy ksiknęliśmy: Uura!... On zląkł się i poszedł... ale potem drugi niepsijaciół miał złe przewodniki i psiszed do nas, jak biliśmy na mustrze.

— I cóż się stało?

— Jak mi zaczęliśmy robić gewałt, hałas, wojnę, takeśmy wszyscy zginuli, dopiro w parę kilka tygodniów, jak pan burmistrz ogłosił licytacjom, takeśmy się dzięki Bogu, wsiscy znaleźli.

Służbista.

Dowódca pułku, gorliwy wróg alkoholu, oznajmił swoim żołnierzom, że jeśli któryś z nich kiedykolwiek będzie pijany, obowiązany jest nazajutrz osobiście zakomunikować o tem pułkownikowi. Pewnego pięknego dnia zjawia się przed dowódcą pułku pijany żołnierz.

— Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że wczoraj byłem pijany.

— Ależ szelmo, przecież teraz też jesteś pijany.

— Ale o tem zaraportuję panu pułkownikowi dopiero jutro.

Na wiejskiej drodze.

— Bartek! Którędy trzeba jechać do Wólki?

— A skąd pan wie, że mi Bartek na imię?

— O, ja wszystko wiem.

— A to pewnie wie pan także, którędy się jedzie do Wólki.

Myśliwi z miasta.

— Ile kaczek zabiłeś?

— Sześć.

— I wszystkie naprawdę dzikie?

— No, takie zupełnie dzikie, to one nie były, ale dzikim był zato ten gospodarz, któremu je ubiłem.

Gdy dziadzio był mały.

Wnuczek: Czy dziadzio był taki maleńki, jak ja?

Dziadek: Tak jest, dziecino!

Wnuczek: A to musiało śmiesznie wyglądać — taki mały pędrak z brodą i w okularach!

Wpadł.

Ulicą idzie fertyczna panienka, niosąc pieska pod pachą.

Elegant: Ach jak pragnąłbym być na miejscu tego pieska.

— Źleby pan wyszedł na tem, bo właśnie niosę go do weterynarza, by mu obciął ogon i uszy.

Numer 51. Rok XIII. Kraków, dnia 21 grudnia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Szczęście i praca.

Każdy człowiek pragnie szczęścia; ono jest potrzebą jego duszy i celem jego życia. Dla zdobycia szczęścia pracuje rolnik, rzemieślnik i robotnik, uczony i artysta; szczęście jest pożądaniem tak cnotliwego, jak i zbrodniarza. Pożądanie szczęścia jest udziałem człowieka, zwierzęta jedynie wolne są od tego, nie może ono jednak być zaspokojone żadnemi dobrami ziemskiemi.

Wszystkie dobra ziemskie i uciechy życiowe mają powab tak długo, dopóki widziane są i pożądane zdaleka; z chwilą ich zdobycia tracą swój urok i czar łudzący. Po zdobyciu upragnionych majątków człowiek mieni się być ubogim i pragnie coraz więcej; użycie rozkoszy światowych prędko sprowadza przesyt a osiągnięte zaszczyty kłują ukrytym dotąd cierniem.

Niema takiego kielicha rozkoszy i pożądań tego świata, na którego dnie nie byłoby kropli goryczy; a kto u schyłku swego życia, chcąc zestawić rachunek swego szczęścia, obliczyć je według wartości dóbr ziemskich, ten z pewnością spostrzeże znaczny brak tego szczęścia, chociażby mu przez całe życie według mniemania ludzkiego „szczęście było służyło".

Gonitwa za dobrami ziemskiemi, za majątkiem, jest najwyraźniejszem znamieniem naszych czasów.

Odwieczna walka o byt zmienia się z powodu nieograniczonej konkurencji w szaloną pogoń „za szczęściem", dużo ludzi doprowadza do nędzy, niewielu z nich bogaci, a nikomu szczęścia upragnionego nie daje.

Skutkiem tej pogoni coraz więcej wśród ludzi zanika poszanowanie pracy. Jeżeli bowiem wszyscy dążą do wzbogacenia się, to jednak mało jest takich, którzyby swoje marzenia o zdobyciu majątku opierali na rzetelnej a spokojnej pracy. To droga wiele za powolna, ich zdaniem; trzeba więc wezwać do pomocy spekulację, ślepy los szczęścia, wyzysk, a często, niestety, nawet i oszustwo, a tak zdobyte pozorne szczęście nie da nigdy prawdziwego zadowolenia.

Pochwała pracy, jej dostojność, zacność i wartość ekonomiczna jest wprawdzie na ustach wszystkich, lecz tylko w tych razach, gdy ją wykonują inni. Gdy zaś my sami ją wykonujemy, wtedy praca jest ciężarem, męką, nieomal przekleństwem.

A przecież o ileby mniej było wśród ludzi zawiści, niezgody i nienawiści, gdyby wszyscy tyle posiadali duchowej mocy, aby pracę ukochać i z miłością ją wykonywać; i to nietylko pracę twórczą, będącą wytworem ducha, ale także tę zwykłą pracę codzienną, znojną, dającą pożytek chleba i bytu.

Nie wszystkim dane jest szczęście, aby mogli oddawać się pracy twórczej. Większa część ludzi musi wykonywać bezduszne prace ręczne. Tak było zawsze i tak zapewne pozostanie, bo troska o utrzymanie ciała jest taksamo nieodzowną w życiu, jak troska o dobra duchowe. Jakakolwiek jednak jest praca, każda wymaga wysiłku i zaparcia się i dlatego każda zdolna jest uzacnić człowieka i wypełnić mu życie. Siła duchowa człowieka okazuje się nie w tem, co działa, ale w tem, jak działa.

Od początku świata każde pokolenie pracowało według możności nad pomnożeniem szczęścia ogólnego, ale dotąd tego szczęścia zupełnego niema na świecie. I dzisiaj ludzkość targa się w wysiłkach ku zdobyciu szczęścia, może nie wiedząc nawet, że jednym ze szczebli, po których do szczęścia się dochodzi, jest ukochanie pracy.

Z drugiej strony dowiedzioną jest rzeczą, że im kto bardziej za szczęściem się ugania, tem dalej ono

od niego ucieka, tem większe następuje rozczarowanie. Taki człowiek będzie ciągle niezadowolony ze swego losu, a narzekaniom jego nie będzie końca.

Prawdziwe szczęście można sobie tylko stworzyć ukochaniem pracy, jaką Bóg w swych niezbadanych wyrokach nam naznaczył. Praca bez tej miłości nie da nam nigdy prawdziwego zadowolenia, a temsamem nie przyniesie prawdziwego szczęścia.

Strzaskana bałałajka.

(Z cyklu: „Szkice na kolanie").

...Bałałajka!...

Tak! Ona była jego życiem, jego rajem, jego jedynem szczęściem!...

Kochał ją nazabój. Musiał jakieś wspomnienie drogiej miłości z młodzieńczych lat zaklęte mieć w swej bałałajce, że ją tak okropnie polubił... Może ze strun, smętno zawodzących strun bałałajki, patrzały na niego jakie drogie, kochane oczka dziewczęce, co gdzieś na drodze życia przepadły na zawsze, na zawsze... Może w tem drganiu strun, drgały jakieś dwa serca, serca młode, serca szalone, serca rozkochane w sobie do bezkresu... Może w melodji strun swojej bałałajki słyszał drogie jego sercu głosy, kochane echa, z dalekich ojczystych stron, które „dla chleba" musiał porzucić, z bólem serca pożegnać na zawsze. Więc kochał swoją bałałajkę i czuł w tem kochaniu szczęście jakieś bezkresne...

...Bałałajka!...

Zwykła stara, obdarta już z politury, trójkątna, drewniana bałałajka!... A może, a może nie „zwykła"? Bo to, bo to przecież była jego jedyna, najdroższa bałałajka!...

Kiedy się patrzało na tego obdartego trochę włóczęgę, gdy szedł chwiejnym, marynarskim krokiem przez uliczki małej, beskidzkiej mieściny, w której od dłuższego czasu stale przebywał, gdy kroczył z przewieszoną przez ramię, na modrej, mocno już zużytej wstążce bałałajką, miało się święte przekonanie, że ten człowiek, z tą swoją bałałajką przyszedł już na świat, że się z nią musiał urodzić!...

„Witek", jak go popularnie nazywano w całem mieście, był dziwnym, otoczonym zawsze jakąś niezbadaną tajemnicą człowiekiem... Długie, już trochę przypruszone siwizną, opadające prawie na ramiona włosy i wielka czarna, artystyczna kokarda pod szyją, wskazywały, że ich właściciel zaliczał się do starej, stuprocentowej artystycznej cyganerji. I kto wie? Grał prześlicznie, grał tak, jak gra prawdziwy, urodzony z talentem artysta!... Ilekroć uderzyi w smętek swych strun, zawsze ukradkiem gdzieś polały się perliste łzy, zapłakało, gdzieś, jakieś czulsze serce... I w chwilach takich, gdy mu się udało choć kogoś choćby jednego tylko wzruszyć, był okropnie szczęśliwym...

Stary Witek miał dnie, kiedy nawet nie tknął strun kochanego, swego instrumentu... Wtedy „Hasia", jak pieszczotliwie nazywał swoją bałałajkę, zawieszona na ramieniu Witka, wędrowała z nim po mieście od kąta, do kąta... W dnie takie Witek stawał się zamkniętym w sobie, małomównym, unikał ludzi i przeważnie przesiadywał za miastem, gdzieś w cieniu buków na grapie, lub błąkał się po samym szczycie Grojca, szperając coś po starych ruinach-gruzach grojeckiego zamczyska... A może patrzał na błękitną wstęgę Soły, wijącą się u podnóża góry, albo słał wzrok, gdzieś hen, w dal przestrzenną daleko, daleko, gdzie wieczorami tonęły w przecudownej purpurze zachodu zadumane, milczące wierchy: Baraniej Góry, Ostrego, Skrzycznej i Klimczaka...

...Ale bałałajka milczała na plecach, nietknięta nawet jednym palcem...

— — — — — — — — — — — — —

W soboty regularnie miał chwile swego natchnienia. Grywał wtedy przez całą noc w małej kawiarence na rynku. I dziwne! Smętne melodje nieznanego bliżej nikomu tajemniczego grajka, które wyczarowywał na rozedrganych strunach „Hasi", ściągały regularnie na noc sobotnią tłum miejscowej inteligencji.

Gdy Witek grał, w kawiarence panowała zupełna cisza...

Goście przestawali między sobą rozmawiać, ustawały śmiechy, zamierał gwar, oczy roześmiane błyskiem, stawały się smutne, zamyślone... Nie ujrzałby na żadnych ustach, ani jednego cichego uśmiechu!...

Ten i ów podparł ręką, w ciężkiej zadumie swoją głowę, gdzieś z czyichś oczu, zwłaszcza dziewczęcych sączyła się zakrywana rączką łzą, inni zwracali się w stronę, skąd płynęła dziwnie rzewna melodja i patrzyli, patrzyli, chcąc może dostrzec coś w oczach nieznanego grajka-artysty...

...A on, Witek... siedział w kącie kawiarenki, na wykoślawionym, z ubitą jedną nogą, stołeczku, oparty o odrapaną z wapna, szarą ścianę, z pochyloną nieco w tył, jakby w natchnieniu, siwiejącą głową i grał...

Palce przebiegały szybko po strunach, z taką energją, jakby należały do dwudziestoletniego młodzieńca, a z oczu biło bezkresne morze rozmarzenia...

Nie chciało się poprostu wierzyć, że to gra ten skulony w kąciku kawiarenki, siwiejący już, drżący i zgrzybiały starzec.

...A Witek grał i grał...

Zaklął swą duszę, zaczarował swą duszę, w cienkie, drewniane ścianki bałałajki, a serce swe, prażone tęsknicą, tą wielką tęsknicą, która rodzi poetów i artystów, przerodził w smętnie zawodzące struny swej drogiej, ukochanej „Hasi", co była jedyną pociechą jego tułaczego życia...

...Grał...

Miał w swoim ręku wszystkie serca...

Targał niemi dowolnie, aż do najstraszniejszego bólu, miotał w nie zardzewiałemi strzałami męki przykrych wspomnień upadków człowieka, że gotowe były wyć z rozpaczy i rzewnie płakały, płakały...

Bo w muzyce Witkowej bałałajki wszystko było. Radość bezgraniczna, marzenia młodości, gorące bicie serca, wzloty górne, marzenia, czar, lękliwe powitanie życia, nieśmiałość, rumieńce na licach, miłość, hymn na cześć życia i szczęścia, i... — zgrzyty, przesyt, zawodów zdradziecka moc, zszarpane ludzkie serce, ból, bezkresny smutek idącej jesieni, podcinający i trujący pełną, dojrzałą i bujną pierś lata dni ludzkich...

Witkowe granie.... Zaczynało się hymnem na cześć Wiosny i Miłości, — kończyło zawsze, nieomylnie opowieścią konania...

Ostatnim akordem było zawsze potrójne, bolesne, zgrzytliwe szarpnięcie strun. To ostatnie trzy uderzenia pękającego serca...

...A potem?...

Cisza.

Artysta nikł gdzieś wraz ze swą bałałajką, a w kawiarence panowała jeszcze długo, długo cisza!... Królowało jakieś tajemnicze, głębokie Zamyślenie...

— — — — — — — — — — — — — —

I tak płynęło co tygodnia życie cygańskie Witkowi.

Aż nagle stało się coś nieoczekiwanego, coś strasznego! Coś, co miało sztyletem przebić gorące serce wędrownego, kawiarnianego grajka, subtelnego poety strun.

I stało się.

— — — — — — — — — — — — — —

Był słotny, rozpłakany deszczem jesienny dzień. Mgły wisiały nad Beskidem, ciężkie szare mgły... Na żywieckim bruku dzwonił za okienną szybą, wielkiemi kroplami deszcz. Smutny był świat. Sentymentalny, smętny nastrój...

Szedłem pustemi ulicami miasteczka w zamyśleniu. Wiatr świstał mi koło uszu melodje podobne do Witkowych...

Nagle posłyszałem tuż za sobą przeraźliwy krzyk. Oglądnąłem się i przystanąłem z przerażenia.

— Chyba kogo mordują! — przeleciało mi przez mózg błyskawicą.

Z drzwi znanej nam kawiarenki śmignął w powietrzu jakiś przedmiot, podobny do drewnianego, trójkątnego pudła i opadł z trzaskiem na bruk ulicy, rozlatując się w drobne kawałeczki. Za przedmiotem, w tejże samej prawie chwili, wyleciała, chyżością lotu owego pudła, ciemna sylwetka przygarbionego mężczyzny i runęła w błoto obok strzaskanych deszczułek...

Ni stąd ni zowąd, może na głos przeraźliwego krzyku, na ulicy zrobiło się zbiegowisko. Tłum obstąpił szarą sylwetkę człowieka.

Nagle zakołysał się czarny las ludzkich głów, po tłumie przeszedł dreszcz, wionęła jakaś groza...

Z kilkudziesięciu, prawie, piersi naraz wydostał się jeden wyraz i półgłosem pobiegł wzdłuż rozmokłonej i zabłoconej ulicy:

— Witek!...

Na chwilę zapanowała cisza, a potem wszystkie oczy zwróciły się w stronę małej kawiarenki. Tłum ruszył... Poleciały z brzękiem potrzaskane szyby kawiarenki na ziemię, zatrzęsły się jej szare ściany... Poczęto okładać pięściami grubego, otyłego jej właściciela, jako tego, który odważył się zrobić krzywdę Witkowi!... I może gruby właściciel byłby skonał pod razami rozgniewanej gromady, gdyby nie nadejście w porę policji...

Po chwili uciszyło się... Poważni i sztywni funkcjonarjusze policji spisywali protokół.

— Dlaczego pan — zwrócił się komisarz do właściciela kawiarni — wyrzucił tego pana i potrzaskał mu ten instrument?...

— A... bo dureń, włóczęga sakramencki przyszedł do mnie z pyskiem, że zwraca mi wszystkie pieniądze, które zarobił u mnie za to swoje głupie granie i, że zrywa kontrakt i nie chce mieć nic ze mną, bo on nie grał dla pieniędzy — pienił się, w odpowiedzi grubas...

Chciano się zwrócić z zapytaniem do Witka, lecz nie można było wymówić jednego słówka, z wielkiego wzruszenia, jakie wywierał widok tego nieszczęśliwca...

Z Witkowych oczu płynęły nieprzerwaną strugą łzy... W jednej chwili wydawał się postarzeć o przynajmniej dwadzieścia lat... Z oczu patrzała przerażająca zgroza obłąkania. Witek wył, krzyczał z rozpaczy. „Hasia! Hasia! Zabili mi moją maleńką! Zabili moje drogie kociątko!...“ — powtarzał w kółko wytrzeszczając dziko oczy. Pochylił się nad kamiennym brukiem i począł pieczołowicie zbierać poszczepane deseczki „Hasi“... A łzy lały się bez przerwy i lały z Witkowych oczu. I patrzał z nich taki okropny ból, że serce się krajało na jego widok...

Cisza się kładła pokotem na beskidzki świat... Szedł granatowy wieczór w krwawej purpurze zachodzącego — hań — nad łukiem skrzeczańskiego wierchu — beskidzkiego słońca. Przestrzenią pól jałowych, skalnych i wyboistych szedł zapach smreków i jałowców, niewidzialną falą... A ścieżką krętą i skośną, wijącą się wśród lasów, wyrębów i pól, o wieczornej ciszy, szedł, przygarbiony od starości, podpierając się sękatym kijem i przystając, co pewien czas, dla zaczerpnięcia wonnego powietrza, wędrowny grajek, poeta melodji Witold Zdun...

Oto znowu przystanął. Usiadł na szmaragdowej trawie, podparł głowę i zapatrzył się na wieczorną zorzę... Czerwony blask padł na jego siwe włosy i oblał całą jego nieruchomą, podobną do posągu postać.

Witold Zdun żegnał ostatni zachód słońca w górach, tych górach, co miast jego zranioną życiem duszę ukoić, nowy jej zadały cios... I nim jeszcze zapadł zmierzch, wydostał zawiniątko, rozwinął pieczołowicie opakowane szczątki swej kochanej, najdroższej Hasi... Przekładał każdą deszczułkę, każdą nawet drzazgę, każdy strzęp rozszarpanej struny, jakgdyby chcąc się przekonać, czy przypadkowo nie zgubił gdzieś małego kawałka...

A potem położywszy drżące lekko ręce na kupie drewienek i strun, zaniósł się znowu głębokim, cichym płaczem...

Był na nowo dzieckiem; dzieckiem, któremu wyrządzono największą krzywdę, bo popsuto, połamano, strzaskano jego najdroższą, najbardziej pokochaną zabawkę!...

Czasem drgały mu palce, jak wtedy, gdy grywał na swojej bałałajce. A może jeszcze mu się wydawało, może jeszcze śnił, że gra i melodja smętna płynie hen, hen, po polach i górach i lasach, w daleköść nieznaną świata?... Może mu się zdawało...

Ale nie było słychać jego ślicznej muzyki, jeno szloch, głęboki szloch pokrzywdzonego serca... Złożył znowu wszystkie kawałeczki Hasi, przewiązał je jej modrą wstążką, na której, na jego ramieniu przez tyle długich dni przewisała, zawiązał, zawinął w chustkę, ścisnął pod pachą mocno, wstał i słaniającym krokiem poszedł naprzód...

Po drodze przemawiał do kogoś czule, cicho półszeptem, kładł prawą rękę na sercu. Ten jego szept wyglądał na zwierzenia miłosne...

Na końcu ścieżki, gdy już miał się znaleźć na drodze, prowadzącej w stronę stacji kolejowej przystanął i jeszcze raz się obejrzał. Pobiegł wzrokiem po zimnym szlaku rzeki Kaszarawy, po kamienistych dalach pól, po zboczach wzgórz, aż hen na te kochane wierchy, na które tyle, tyle razy w rozmarzeniu patrzał...

Jeszcze jeno, gdzieś w dali tonęły najwyższe szczyty w promieniach zachodu słońca, co znikło już

gdzieś z drugiej strony za wierchami, opadło w otchłań świata...

Na sercu grajka osiadł mimo wszystko krwawą purpurą zachodu żal i ścisnął niem, jak gąbką... Tak! Zostawiał tu przecież bądź co bądź, szmat swego tułaczego życia. Żal mu było gór, co go rozmarzały, żal nocy przegranych w kawiarence i dni spędzonych w bezczynie za miastem i ludzi, którzy go kochali i których on kochał... Pozatem nic!... Żeby choć mógł teraz zbrzęknąć na pożegnanie, na strunach bałałajki, tym kochanym stronom!... Ścisnął mocno strzaskane szczątki „Hasi" i poszedł ku stacji, by odjechać, odjechać daleko...

— — — — — — — — — — — —

Lecz gdzie? Dokąd pojechałeś Witku, bez twej kochanej bałałajki?...

Jacek Orlik.

Lekka śmierć.

Starego Szymona Patułę, bogatego rolnika raz wieczorem po wykopkach strzyknęło coś w krzyżach i powaliło go na łóżko, poczem w członki wlazła mu jakaś martwość. Ręce i nogi zesztywniały jak mokra bielizna na mrozie, usta zesznurował dziwny klajster, a nawet serce, chociaż biło tak cicho, że puls krwi czuł tylko sam Szymon.

— Pewnie śmierć! przeszyła mózg jego przykra myśl rozstania się z bożym światem i kochającą rodziną.

— Szymuś... doszło do jego uszu łkanie żony — a dyć odezwij się przecie!... Może doktora ci potrzeba, — wina ci kupię francuskiego — mów co chcesz, niczego nie pożałuję.... Krwi własnej utoczę — tylko odezwij się, Szymuś najdroższy!...

Serce Szymona wezbrało radością: Kocha mnie, poczciwe żonisko... Chciał usta otworzyć, ale stężałe dziwnie wargi zastygły w martwym bezwładzie.

— Ano widać śmierć! — pomyślał z rezygnacją, ale pocieszył go płacz żony i dzieci. — Lekko człekowi umierać, gdy czuje żal ukochanej rodziny...

— Antek zaprzęgaj konia — rzekła Szymonowa do syna, i chybaj po doktora.

Antek podszedł do ojca, podniósł rękę chorego, która opadła ciężko, jak ołów, spojrzał w oczy lekką mgłą zasnute i zadecydował: Stary ani zipie! Jak jechać do miasta, to chyba po trumnę.

Pod wieczór zeszły się sąsiadki, pocieszyć wdowę i przygotować nieboszczyka na drogę wieczności. Najpierw Antek zabrał się do golenia rodziciela.

Po izbie rozległ się skrzyp tępej brzytwy, skrobiącej zgrzytliwie gęste, niegolone parę dni włosy.

— Weź nową brzytwę! — rzekła Szymonowa.

— Jeszcze co — odrzekł Antek... Nowa brzytwa kosztuje parę złotych a stary nie wybiera się na wesele, żeby go na fest wygolić.

Jedna z kumoszek wyciągnęła ze skrzyni stos bielizny. Wyszukała najnowszą parę i zabrała się do oblekania nieboszczyka, gdy nadeszła Szymonowa, niosąc starą, postrzępioną koszulę.

— Jemu ta alagancji, już nie trzeba, nieborackowi. — Niech se ta stare szmatki u świętego Pietra dodziera.

Przy ubieraniu trupa w odzież, sąsiadka odradziła Szymonowej stroić nieboszczyka w nowy garnitur.

— Pan Jezus nie patrzy na ubranie, ino na czyste serce... A Szymon był chłop dobry i uczciwy — w anielskich szatkach będzie w niebie paradował!

— Prawdę gadacie, Walentowo, rzekła wdowa, chowając nowe ubranie do szafy. A w duszy pomyślała: Ubranie przyda się dla drugiego — nie będzie na ślub tyle wydatków.

Szymonowi ścisnęło się serce, w gardle zapiekł jakiś straszny ból. Chciał się podnieść i rzucić łachmanem koszuli w twarz kochającej żony, ale sztywne członki odmówiły posłuszeństwa.

— Antek, jedziesz po trumnę jutro.

— A ile matka da na nią? — zapytał synal. Ma być malowana, z aniołkami po bokach?

— Ty heretyku! — rozgniewała się matka. — Nie wiesz, że pokora niebiosa przebija? Trumnę kupisz sosnową, najtańszą, bo człek z prochu powstał i niema co marnego prochu ludzkiego honorować.

— Ale, — dodała zaraz, kupisz 10 metrów czarnej krepdeszyny na żałobne suknie dla mnie i twej siostry... I wody kolońskiej kup też pół litra, bo nieboszczyka już trochę czuć, to się chusteczki od nosa pokropi wedle tego fetoru. A nie zapomnij 8 litrów czystej, 2 flaszki likieru dla sąsiadek, boć to pogrzeb zamożnego chłopa, nie lada wywłoki.

W Szymonie zakipiała krew gorącym strumieniem gniewu. Ręce zaświerzbiały go, jakby je obsiadł gęsty rój mrówek. Jednak niemoc, która skuła całe ciało, stłumiła odruch powstania z śmiertelnej pościeli.

Na trzeci dzień, gdy już Szymon leżał w trumnie a przed oknami zbierała się gromada pogrzebników, do trumny podeszła córka, ukochana jedynaczka, najdroższa sercu Szymona.

— Mamusiu — rzekła do matki, — przecież szkoda tej poduszki haftowanej pod głową tatusia. A pierze w niej przecież — to sam puch.

Szymonowa potwierdziła skinieniem głowy i odpowiedziała: Szkoda — bo szkoda, córuś! Powłóczki zdjąć nie można, — ludzie by obnieśli nas po wsi całej. Ale puch wyjmij dziecko i chybcikiem nasyp piasku... Niech mu ziemia lekką będzie...

— — — — — — — — — — — —

Ostatnim, nadludzkim wysiłkiem woli, spotęgowanej olbrzymią boleścią szarpnął się Szymon ze śmiertelnego letargu wyskoczył jak piorun z trumny, jednym susem przesadził parkan, pobiegł lotem strzały ku przydrożnej wierzbie i powiesił się na suchej gałęzi....

Miał przynajmniej lekką śmierć: umarł, zdarłszy potworną maskę ludzkiej obłudy...

Wład. Łukasik.



Słota.

Gdy w duszy skarga i sercem targa
Nieznośny ból,
Niech wiatr szaleje, niech deszcz zaleje
Bezkresy pól.
Dzień nie da łaski i schowa blaski
Za welon chmur,
Niech szumi groźnie, ponuro trwożnie
Pobliski bór.
Ja w tej szarudze i w deszczu strudze
Roztopię łzy,
Smutek ukoję i ból zagoję,
Co w sercu drży.
Niech szara słota moją tęsknotę
Obróci w czar,
I spokój duszy niech nie naruszy
Rój czarnych mar.

Klaudja Majchrowicz.

OFIARA POLOWANIA.



Powiadają myśliwi, że polowanie, to piękna rzecz! Może być, że piękna dla nich, ale nie dla tych biednych zwierzątek, na których życie czyhają. Mniejsza z tem, czy to zając, sarna, lis, czy kuropatwa, czy jakiekolwiek inne stworzenie Boże! Żyje sobie to biedactwo w lesie, czy na polu, cieszy się swem życiem, ma swoje radości i smutki. Choć nie posiada duszy, ale przecież całem swojem jestestwem odczuwa piękno natury, odczuwa blaski słońca i szmer strumyka, kąpie się w łagodnych powiewach wiatru, rozkoszuje się zapachami ziół i kwiatów.

Żyje samo i życie innym daje. Taksamo, jak u ludzi, matka małego zajączka troszczy się o swe maleństwo, drży o jego życie i chroni go przed nieprzyjaciółmi, póki on do sił nie przyjdzie i sam o siebie się nie zatroszczy. Nieraz lwica, czy niedźwiedzica życie swe w obronie swego drobiazgu oddaje. Widocznie ceni to życie i chce je dla swego potomstwa zachować.

A my idziemy z strzelbą w ręku i staramy się dni życia biednego zwierzęcia skrócić dla swojej przyjemności. I czyż to nie jest barbarzyństwo?

Powiadają, że Pan Bóg wszelkie stworzenie stworzył dla użytku człowieka. To prawda, ale i to jest prawdą, że nigdzie nie powiedział, aby je tępić bezlitośnie, niejednokrotnie bez celu, ale wyłącznie dla własnej przyjemności.

Polowanie na dziki, lisy, lwy, tygrysy, niedźwiedzie, wilki i inne drapieżce można jeszcze usprawiedliwić, bo polowanie takie można nazwać samoobroną. Drapieżce te tępią nietylko inne pożyteczne stworzenia, ale niejednokrotnie i samemu człowiekowi zagrażają. Zabijanie ich więc jest niejako samoobroną, jest obroną innych stworzeń i to zabijanie w sumieniu ludzkiem da się usprawiedliwić. Ale zabijanie zwierzątek pożytecznych jest zwykłem morderstwem, nie karanem wprawdzie ani przez prawo ludzkie, ani Boskie, ale zawsze morderstwem, które nigdy sercu ludzkiemu nie powinno sprawiać zadowolenia.

A jednak jest ono niemal konieczne, a konieczne z dwóch względów. Po pierwsze, gdybyśmy tych miłych i pożytecznych zwierząt nietylko nie zabijali, ale je nawet ochraniali, to namnożyłoby się ich tyle, że brakłoby dla nas roślin na świecie, a po drugie mięso ich daje nam smaczne pożywienie, więc musimy istoty te pozbawić życia, aby je zdobyć. Ale w takim razie niechże ten nasz czyn morderczy będzie tylko spełnieniem zła koniecznego, lecz nie rozkoszujmy się nim i nie nazywajmy go przyjemnością polowania.

Oto na naszym obrazku widzimy samiczkę jelenia, która zraniona przez myśliwego padła na puszystym śniegu. Jeszcze ostatniego tchu z siebie nie wydała, a już przy jej ciele zjawiły się dwa lisięta i rozkoszują się zapachem świeżej krwi. Miny ich zadowolone, a że jeszcze swych ostrych kłów nie wbiły w ciepłe ciało ofiary, to tylko dlatego, że obawiają się, czy ich mimowolna zdobycz nie podniesie się nagle z ziemi i nie zaatakuje ich najniespodziewaniej. Lisięta mogą się cieszyć z śmierci nieszczęśliwej jelenicy, bo one nie zastanawiają się nad tem, czy aby ta dogorywająca istota nie pozostawiła gdzieś w pustaciach leśnych młodziuchnej córe-

czki, która daremnie będzie oczekiwać jej przybycia. Te młode lisięta cieszą się życiem własnem, ale nie mogą odczuwać rozkoszy życia innych istot.

Niechże myśliwy nie będzie podobny do tych nierozumnych zwierzątek. Jeżeli ma już gdzie i na co polować, to niech poluje, bo tak już jest świat urządzony, ale czyn ten niech wykonuje, jako zło konieczne, a nie nazywa go nigdy przyjemnością polowania.

Każde odebranie życia drugiej istocie jest zwykłem morderstwem, choćby ono było przez prawo usankcjonowane!



MACIEK BZDURA GADA:

Takie babskie teraz powietrze na całem świecie, ze jaze strach. Nie lunie z nieba porządnie woda, a ino chlapie, a chlapie nikiej jaka baba po niebo-scyku chłopie z załości, ze sie mu tak późno zmarło, a ona nijak ni moze se nowego wysukać. Bo to juz zawse na tem świecie tak jest, nie jakby cłek chciał, ino tak, jak sie samo zrobi. Wiadomo przecie, ze kuzda dzieucha, jak sie ino ulągnie, chciałaby cemduchu za chłopa sie przejść, a jak sie jej to uda, to go za parę miesięcy ma dość i radaby znowu inksego. A Poniezus tak na zawołanie chłopów nie zabira, bo ich przecie i tak mniej na świecie, jak babów.

Teraz to rano robi sie wele połednia, a wiecór zacyna sie zaraz po obiedzie, ze bez to porządnego dnia nima ani odrobiny. A i ta odrobina, co sie to dniem nazywać kaze, to jaki mi to tam dzień, kiedy mgliska po tej ziemi sie włócą, kiej dzieuchy za chłopakami, ze cłek przez nie ani złociaka w kieseni, a masła na chlebie zuźryć nie moze. Latego tez nie wiem, cy mi gospodyni bez jesień i teraz dawali masła na chlib, cy nie. Gospodyni powiadają, ze dają, ino ja go bez mgłę nie widzę, ale mnie sie widzi, ze to nieprawda, bo chlebuś nie tak prędko do gęby idzie, jakby był masłem nasmarowany. Bo przecie i przysłowie powiada, ze kto smaruje, ten jedzie, więc jak sie chlib nasmaruje, to on prędzej do brzusyska pojedzie. Zreśtą i po boleniu brzucha sie pozna, cy sie jada omascono, cy jałowo.

Ta mgła zrobiła, zem se wcoraj o mało mojego nosa o nos Bartka Furgaca nie rozbił. A było to tak: Ja sedem na gałązki do pańskiego lasa, a Bartek sed z gałązkami z pańskiego lasa. Bo wiadomo, ze my sie z nasem dziedzicem okrutecnie lubiwa i gdzie sie da, tam mu robiwa porządki. Więc ja sedem do lasa, a Bartek z lasa. Ja sedem prosto i Bartek prosto, bo przecie wiadomo, ze wszyscy ućciwi ludzie zawse prosto chodzą. Ja Bartka nie widziałem i Bartek mnie nie widział. Wszyćko było więc w porządku, ino w tem była cała strapacyja, ze ja sedłem do lasa, a Bartek z lasa, i ze ja Bartka nie widziałem i ze on mnie nie widział, więc my sie ścięli ze sobą, jak dwa hajzybony i o małośmy sie nie wykoleili. I dopiro wtedy Bartek uźrał mnie, a ja uźrałem Bartka. A jak cłek cłeka zuźry, to zacyna z niem gadać, cy ma o cem, cy ni ma o cem, więc i my z Bartkiem dali gadać.

Wiadomo, ze ja jestem okrutecnie pobozny człowiek, bo nie ino raz koło Wielganocy, jak kazą przykazania kościelne, ale nawet dwa razy do roku do kościoła chodzę: raz na Lezurekcyję, a drugi raz po pośniku, zeby sie cłekowi trochę na wnętrznościach ulzyło, ale co juz Bartek, to jakby jesce więcej świętych Poniezusowi trzeba było, toby se móg z niego jesce jednego świętego zrobić. Bo Bartek to nie tak, jak to inkse chłopaki, co ino ciągiem o dzieuchach se opowiadają; on, jak tylko ma go kto słuchać, to zaraz włazi na katefis i rozprawia o samych świętościach. Bez to, jak my tak na siebie wleźli, prawi:

— Jak ty, Maciek, myślis, będą baby w niebie, cy nie?

— Mnie sie widzi, ze nie, bo powiadają starzy ludzie, ze do nieba pójdą małe dziecka i dziady, a o babach nikt nic nie wspomina. A zreśtą, moze i pójdą, bo pocoby je Poniezus stworzył?

— Toś głupi! — prawi Bartek — jak ci sie zdaje, ze i baby mogą pójść do nieba. Przecie wiadomo, ze Poniezus stworzył baby na utrapienie ludzkie, a nie do nieba! Jakby tam bab nalazło, a zacęły trajkotać, toby wszyscy święci z nieba poumykali i niebo nie byłoby niebem, ale jesce gorsem piekłem, jak było od stworzenia świata. Kuzdy ze świętych zaraz starałby sie o paśport do Hameryki i zmykałby co sił w nogach. A taki święty Pieter, co za zycia od rodzonej baby umknął, to myślis, zeby se na swoje utrapienie inksych do nieba napuscał?

— Kiej widzis — ja mu na to — w niebie będą ino dusycki ludzkie, to nikt gadać nie potrafi, bo jego ciało zgnije i chrobaki je zjedzą...

— Juści — pada Bartek — ale potem to ciało zmartwychwstanie i gadać będzie umiało, bo przecie mowy swoi nie zapomni. Zreśtą wszyćko zgnije, ale babski język nawet i w trumnie nie zgnije. Widziałem jak wkiejsik gróbarz odkopał grób jednej baby, to z ciała nie było ani śladu, kostecki na proch spruchniały, a ino język pozostał i po trumnie sie na wszyćkie strony obracał.

— No, choćby i tak — prawię ja swoje — to przecie zadna pyskata baba do nieba nie pójdzie, a pójdą ino takie, co umią pięknie na chórze śpiwać i znają na pamięć różne pieśni, aby tam mogły pięknie Panu Jezusowi kolendować.

— E, toby ino co niektóra baba tam posła — powiada Bartek — a reśta gdzieby ci sie w piekle pomieściła?

Na to nase gadanie nadeśli jegomość i jęli nas pytać, nad cem tak deliberujewa. Jak my jem powiedzieli, tak jegomość padają:

— Do nieba moze pójść kuzden, trzeba ino, zeby umar bez wielkiego grzychu. Poniezus nie patrzy, cy to chłop, cy baba, byle był cłek dobry i niegrzysny. A z babskiemi językami to on se tam juz poradzi, bo cego nie potrafią zrobić wszyćkie ziemskie chłopy zebrane razem od początku świata, to On jeden to potrafi. I w tem juz jego rzec, a nie takich, jak wy, smyków.

A moze to i prawda, kiedy jegomość tak powiadają, ale skądze oni mogą wiedzieć, kiedy ani jednej własnej baby nie mają.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zambeza II.

W poprzednim numerze „Roli" opisaliśmy bujną roślinność południowej Afryki. Nie wszędzie jednak krajobraz jest jednakowy. Poza owemi przestrzeniami, zarosłemi olbrzymiemi trawami, poza owemi uroczemi lasami, są też i pustkowia nieurodzajne, na których ani człowiek, ani zwierzę się nie pożywi. Ale znów nieco dalej rozciągają się nieprzejrzane obszary roli ryżowej, a za nimi bagna, wydzielające ze siebie zabójczą woń, szczególniej dla Europejczyka.

Ale powróćmy jeszcze na chwilę do drzew tamtejszych. Jak to powiedzieliśmy, jest ich wielka rozmaitość, do największych jednak należą boaby. Są to niemal największe drzewa na świecie, gdyż przewyższają je tylko drzewa mamutowe w Kalifornji. Pień ich nie jest wysoki, ale tak szeroki, że w wydrążeniach jego mieszka nieraz cała rodzina biednych Kafrów, a gałęzie jego rozciągają się na 30 do 40 metrów dokoła. Jest ich kilka gatunków. U niektórych długie gałęzie spadają w łukach aż do ziemi tak, że korona boababu tworzy jedną wielką kopułę. U innych znowu pień jest nadzwyczaj gruby, od 8 do 10 metrów objętości, ale zato gałęzie krótkie. Kora jest bardzo gruba i żylasta i wydaje z siebie płyn barwy fjoletowej.

Owoce boababu są znacznej wielkości, formy jajowatej i mają smak przyjemny, słodko kwaskowaty. Rosną zwykle samotnie, bo żaden inny krzew nie utrzymałby się w pobliżu nich z powodu, że olbrzymie ich korzenie rozchodzą się przeszło na dziesięć metrów dookoła; gdzieniegdzie jednak znajdują się całe lasy boababów. Małpy osobliwie żywią się ich owocami i dlatego boababy zowią się także drzewami małpiemi.



Drzewa małpie.

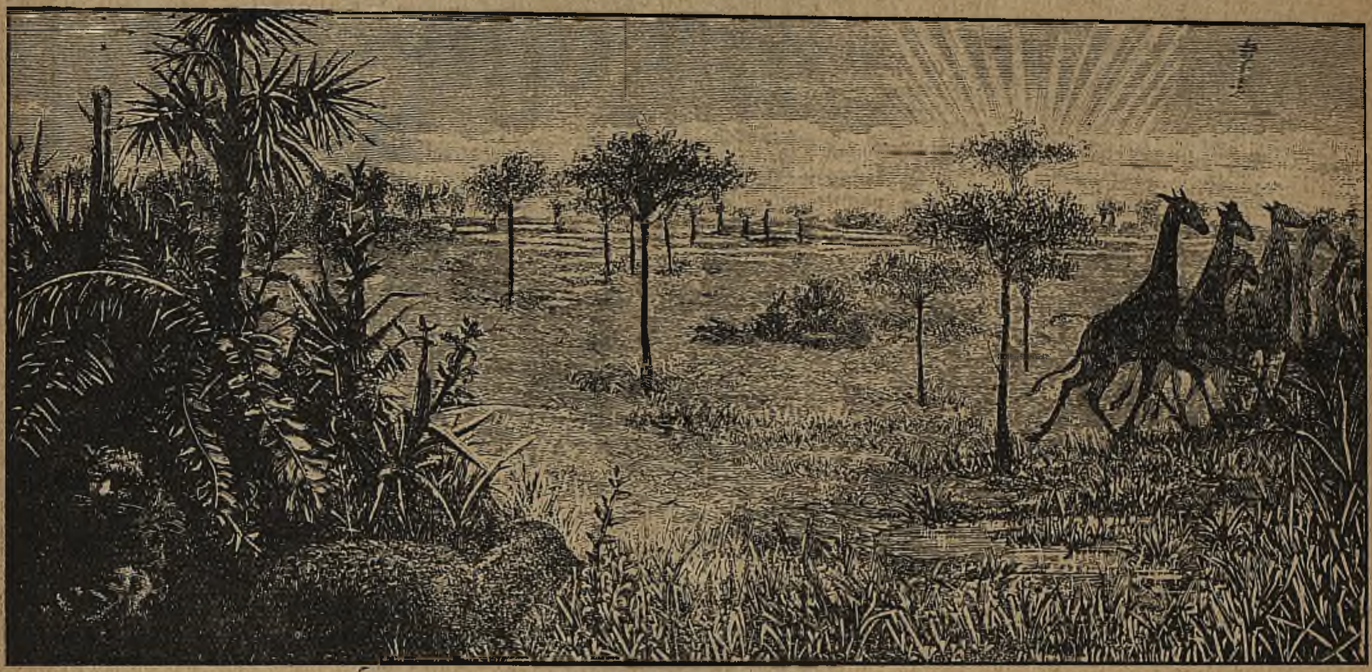
Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie jedno takie drzewo boababu. Możemy podziwiać jego olbrzymi pień z rozpostartemi gałęziami; na jednej z nich siedzi sobie małpka i podziwia piękną okolicę, podczas gdy druga, mąż lub narzeczony poprzedniej, wybrała się na poszukiwanie pożywienia, spuszczając się po jakiejś odrośli drzewnej.

Niektóre okolice tamtejsze są jakby prawdziwym rajem ziemskim, ale i wśród tego raju czyha niejedno niebezpieczeństwo na podróżnego. Widzimy to na naszym drugim obrazku. Zaiste cudowny krajobraz. Oto wschodzące słońce oświeca jasno wielką łąkę, na której wystrzelają tu i ówdzie samotne drzewka. Pasły się na niej spokojnie długoszyje żyrafy, póki nie poczuły grożącego im niebezpieczeństwa. Posłyszały zapewne szmer pieszczącej się w utulnym zakątku drzewnym pary zakochanych tygrysów. Nim jeden z nich zdołał się rzucić na długoszyje stado, już ostrożne zwierzęta opuściły swe życiodajne pastwisko i pomknęły w bezpieczniejsze okolice. Widzimy ich jeszcze kilka, pędzących na złamanie karku, aby ujść przed grożącem im niebezpieczeństwem.

To są czarne plamy w tym raju dla tych, co się nie żywią cudzem mięsem, podczas gdy dla krwiożerczych tygrysów raj ten może naprawdę nazywać się rajem, gdyż nie brak tu nigdy upragnionej krwi ich ofiar.

A wśród tego raju ziemskiego żyją najbardziej opuszczone ludy afrykańskie: Murzyni, Kafrowie, Hotentoci i inne plemiona rasy czarnej, pogrążone w grubem bałwochwalstwie i nadzwyczaj pod każdym względem upośledzone. I czyżby tych ludzi nie można było pozyskać dla cywilizacji? I owszem! Jeżeli najdziksze zwierzęta potrafi człowiek obłaskawić i niejako ucywilizować, dlaczegożby nie można było tego samego uczynić z innym człowiekiem, choćby najbardziej dzikim. Ale Europejczycy, przybywszy do Afryki, nie myśleli zupełnie o cywilizacji. Celem ich było nie nauczanie tych biedaków, nie prowadzenie ich ku drodze wiedzy, ale niejako za swoje zadanie pierwsi przybysze postawili wytępienie tych czarnych plemion i usunięcie przeszkody, jaką bądź co bądź dla nich stanowili. To też urządzano poprostu na nich polowania, a niejeden z tych barbarzyńskich myśliwych szczycił się ilością zabitych murzynów. To też nic dziwnego, że te dzikie ludy starały się odpłacić pięknem za nadobne. Gdzie

mogły tylko, tam napadały na Europejczyków i nietylko ich zabijały, ale wziąwszy żywcem, męczyły i... po zabiciu zjadały. Oczywiście w walkach tych Europejczycy posiadali ze względu na udoskonaloną broń i sposoby walki znaczną przewagę. Byli przeważnie górą i coraz bardziej spychali tubylców w niedostępne okolice Afryki, ale postępowaniem wyrobili taką nienawiść przeciw białym, że ci uważali ich za największych swoich wrogów. To też nic dziwnego, że gdy potem przybyli misjonarze, aby wśród dzikich głosić słowa miłości, padali ofiarą tych, których chcieli prowadzić na drogę prawdy i cnoty. I nie można się dziwić dzikim, że tak postępowali, gdyż byli niejako uprawnieni do tego przez pierwszych Europejczyków.



Siedliska tygrysów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

N. W. GOGOL.

Tłomacz. z rosyjskiego J. Gazda.

Zaczarowane miejsce.

(Opowiadanie starego Kozaka).

(Dokończenie)

— Och! — zapiszczał dziób.

— Och! — zabeczał baran.

— Och! — zaryczał niedźwiedź.

Wystraszony dziadek odwrócił się.

— Boże mój, co za noc, wkoło przepaść, pod nogami otchłań bezdenna, nad głową zwiesiła się góra i co tylko nie runie na mnie.

I cudaczy się dziadkowi, jak z poza góry jakaś mara, u której nos jak miech w kuźni; nozdrza, że choć po wiadrze lej do każdej; wargi jak kłody, czerwone oczy wybałuszone na wierzch, w dodatku jęzor wywalony na wierzch i drażni nim.

— Do djabła że skarbem! — krzyknął dziadek i kopnął kocioł — naści twój skarb mordo obmierzła.

I już zaczął uciekać, jednak obejrzał się i zobaczył, że wszystkie strachy znikły.

— To tylko nieczysta siła tak straszy!

Wziął się na nowo do kotła.

— Nie! za ciężki! Co robić? Przecież go nie można zostawić!

Zebrawszy wszystkie siły, objął kocioł obydwoma rękami.

— Ano, dalejże! Jeszcze! jeszcze mocniej! — i wyciągnął. — Och, teraz by powąchać tabaki.

Dostał rożek, przedtem jednak obejrzał się dokładnie, czy nie widać czego.

— Nie, zdaje mi się, że niczego nie ma.

W tem zdało mu się, że z poza drzewa wychylają się dwa rogi i wybałuszają czerwone oczy, zmarszczony nos zabiera się do kichania.

— Nie! Nie powącham tabaki — pomyślał dziadek i schował rożek — znowu zabryzga oczy.

Rzekłszy to, począł uciekać, ile sił w nogach.

Wtem czuje, że go ktoś bije patykiem po piętach.

— Oj, oj! — pokrzykiwał dziadek i puścił się z jeszcze większą siłą.

— Gdzie się to zapodział dziadek — pytała matka, czekając z kolacją dość długo, która już dawno wróciła z hutoru i przyniosła garnek gorących klusek na kolację.

A tu dziadka, jak nie widać, tak nie widać. Więc nie czekając na niego, zjedliśmy kolację. Po kolacji wymyła matka garnek i szukała miejsca, gdzieby wylać pomyje, ponieważ wszędzie były grzędy. W tem spostrzegła, że jakaś kadź toczyła się ku progu (noc była dość ciemna), więc myślała, że to chłopcy zbytkują i toczą kadź.

— A otóż wyleję pomyje do tej kadzi! — pomyślała i wylała gorące pomyje.

— O joj! — krzyknęło coś grubym głosem.

Patrzymy — dziadek. Któż mógł wiedzieć, że to on. My dalibóg myśleliśmy, że to kadź. Przyznam się, choć to pewno trochę grzech, a jednak co to za śmieszny był widok, kiedy siwa głowa dziadka była cała uwalana pomyjami i obwieszona skórkami z arbuzów i dyń.

— Patrzcie, co za przeklęta baba — rzekł dziadek ocierając połą świtki głowę. — Oparzyła wiedźma

jakaś, jak świnię przed Bożem Narodzeniem! No chłopcy! starczy wam teraz na obwarzanki! Będziecie teraz sobacze dzieci chodzić w złotych żupanach! Popatrzcie-no tutaj, co ja wam przyniosłem.

Rzekłszy to dziadek, odkrył kocioł.

I kto zgadnie, proszę troszkę pomyśleć, co tam mogło być? Złoto? Otóż nie złoto: śmieć, świństwo, nawet wstyd rzec, co takiego. Plunął dziadek, rzucił kocioł i umył ręce.

I od tego czasu zakazał dziadek wierzyć djabłu.

— Nie myślcie — mówił nam często — bo wszystko, co tylko przyrzeknie wróg Chrystusa, to wszystko zełga sobaczy syn. U niego prawdy ani za kopiejkę!

Od tego czasu, jak tylko staruszek usłyszał, że gdzie coś niespokojnie, to zaraz mówił:

— Ano dzieci! dalejże się żegnać. Ot tak jego! A tem na niego! — i dalejże sam się żegnać.

A to przeklęte miejsce, gdzie nie dotańczył, zagrodził płotem i kazał tam wszystko świństwo, wszelkie odpadki i śmiecie, które wygrabywał z grządek, wrzucać.

Tak to zamroczy nieczysta siła. Ja znam dobrze tą ziemię: później wynajęli ją od ojca sąsiedni kozacy pod basztak. Ziemia była pyszna i urodzajna nad podziw; ale na zaczarowanem miejscu nie było nigdy nic dobrego. Zasieją, jak się należy, a zejdzie coś takiego, że nie rozeznasz, co to jest: arbuz-nie arbuz, tykwa-nie tykwa, ogórek-nie ogórek, jednem słowem djabli wiedzą, co takiego.



Wyrzucając ziemię, zobaczył kocioł.

Pogrzeb jaskółki „Soni".

Nie wiem, dlaczego ją tak nazwaliśmy... Zresztą nikt z naszej gromady nie znał tajemnicy jej imienia, prócz jednego, który nosił w naszej rodzinie przezwisko „Kapelana" (lubiał śpiewać łacińskie psalmy, gdy wyjeżdżaliśmy na morze), a który właśnie ochrzcił naszą jaskółkę.

Jaskółka ta była benjaminkiem całego domu. Pokochaliśmy ją wszyscy, całem sercem i czujne nasze oczy stale były skierowane pod strzechę, na wiszące tam gliniane gniazdko jaskółki „Soni", jedyne pod całą naszą strzechą. Od dwóch lat bowiem gościliśmy tylko Sonię, inne jaskółki opuściły nas i przeniosły się z naszej starej chaty rybackiej, do obok stojącej świeżo wybudowanej willi... Pewnie! Poco miały mieszkać u nas, w starej ruderze, kiedy miały tuż, królewski pałac!... Tylko nasza kochana Sonia pozostała...

Co roku przylatywała do nas, gdzieś z nad morskiej fali dalekich stron południa i z energją, z prawdziwym zapałem poprawiała swoje gniazdko, wyszukiwała gdzieś zamczyska i zakładała ognisko domowe... I trzeba ją było widzieć, uganiającą się za muszkami, aż hen, gdzieś pod lazurowem niebem i znoszącą pokarm młodym, piszczącym cichutko w gniazdku jaskółeczkom! Jaka była przy tej swej zbożnej pracy promienna!

Gdy wiosna szła do nas, na nadmorski brzeg i z krzykiem witały ją, uganiające w bladych pobłyskach słońca nad srebrną falą mewy, oczekiwaliśmy z bijącem sercem naszej kochanej Soni. Przyleci, czy nie przyleci? A może właśnie już nie powróci do nas tego roku. Ktoś począł snuć przypuszczenia o jej śmierci w falach oceanu, lecz dostał nagle od wszystkich taką odprawę, że zamilkł i spuścił nos na kwintę.

— Co to głupstwa opowiadać! Ona przyleci, bo poprostu to dla nas zrobi, bo no, bo... musi przylecieć!... Musi!...

— Pewnie, że przyleci, tylko się spóźniła!...

Czekaliśmy...

Aż pewnego dnia, gdy zajechał do gdyńskiego portu jakiś wielki parowiec włoski i opuścił wielkie, żelazne kotwice, ni stąd, ni zowąd, ujrzeliśmy nad wieczorem przyczepioną pod strzechą, pazurkami do ściany, kochaną Sonię i lepiącą już swoje gniazdko...

Zrobił się w całej zagrodzie rwetes, hałas, zgiełk i krzyk nie do opisania. Pierwszy ją spostrzegł marynarz Józwa. Zataczając się, jak zawsze, pobiegł do dziewcząt z radosnem oznajmieniem:

— Wicie co? Dawajcie liter ostrej! Wygrałem zakład, jak strzelił!

— Co? Co się stało?... Józwa mów!

— Co się stało?... Co?... Wygrałem! A to grunt!...

— Józwa, psiakrew, tyś dzisiaj podchmielony znowu — zauważył któryś z mężczyzn.

— Bynajmniej, cholera! — zaklął, jak zawsze w takich razach marynarz — Sonia lepi pod strzechą gniazdo, aż ci psiakrew trzeszczy!...

Całe domostwo zatrzęsło się jednym, szalonym, radosnym okrzykiem:

— Sonia!... Sonia!... Sonia!...

I po chwili wszyscy już stali cichutko pod gniazdkiem, rozmawiając w duszy z jaskółką. Świeciły się oczy i biły mocno serca...

Aż marynarz, jak zawsze z humorem przerwał tę ciszę:

— Safanduły jedne! Co się tak gapicie na nią, a aniście jej „dzień dobry" nie raczyli powiedzieć. Wiecie co? Zaśpiewajmy jej „Niech żyje..."

Żart Józwy wszyscy wzięli na serjo i pod niebo huknął szalony toast...

Sonia patrzyła na to, przyczepiona pod strzechą, trochę osłupiałym wzrokiem, potem jednak jakby chcąc powiedzieć „Rozumię! Dziękuję ślicznie!" kiwnęła główką, otworzyła sympatycznie dzióbek i oderwawszy się od muru wzbiła się wysoko, wysoko, jak chyba jeszcze nigdy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Mijały dnie, tygodnie — miesiące...

Przekwitło i zwolna parne lato i... nad brzegiem morza czuć było już idącą jesień. Od cudnych redłowskich lasów czuć było już jej pachnący zeschłemi liśćmi, smutny zapach.

Sonia wychowała nową rodzinę i pomału myślała już o smutnym odlocie z Ojczyzny na dalekie południe, skąpane w złotem słońcu. Marynarz miał dzień wolny i miast rozpijać się, jak zwykle w porcie, ze swoimi kompanami, siedział w domu i pilnie coś majstrował, nie chcąc udzielać nikomu żadnych objaśnień.

Dopiero po obiedzie zwołał nas wszystkich na naradę i rozpoczął swoje przemówienie. Co drugie słowo splunął na kilka metrów przed siebie, a co trzecie, musiał tradycyjnie z naciskiem wymówić słodkie imię pani cholery, przyczem coraz bardziej zagłębiał swoje ręce w szerokich marynarskich spodniach. Oprócz tego miał jeszcze swoje tradycyjne i oryginalne powiedzionko: „Klawy port, psiakrew!" — co odnosiło się oczywiście do Gdyni, a z samą treścią rozmowy nigdy nic nie miało wspólnego.

— Moi drodzy! Cholera! Cholera!! Klawy port — psiakrew! My musimy cholera wiedzieć, że klawy port — psiakrew, Sonia, nasza Sonia, to jest Sonia, a nie cholera jakie inne szczuczydło! Więc, klawy port — psiakrew, zrobiłem caca obrączkę, i to się jej, cholera, nałoży na łapkę! Dobrze?

— Pewnie, że dobrze! — ucieszyliśmy się tem wynalazkiem marynarza. Dziewczęta tylko postawiły swoje warunki: żeby nie było ciężkie, bo biedaczysko Sonia przecież daleko poleci i żeby nie uciskało nóżki jaskółce.

Marynarz splunął kilka razy i kiwnął potakująco głową na zgodę.

— Kobiety, cholera, to już zawsze takie sobie, puch marny, klawy port, psiakrew!

Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób Józwa chwycił Sonię, dość na tem, że przed wieczorem jeszcze tego dnia ujrzeliśmy aluminjową, świecącą zdaleka, niby srebro w słońcu, obrączkę na nóżce jaskółki... Na obrączce Józwa wyrył jej imię ze swoim własnym dodatkiem: „Droga Sonia". Aż przyszedł dzień odlotu.

Widzieliśmy, wszyscy zebrani nad morzem, odlatującą ciemną chmurę jaskółek... Ptaki zniknęły hyżością strzały na południe...

I widzieliśmy wszyscy, jak w chwili, gdy zataczały już ostatnie koło nad naszą zagrodą, oderwała się jedna z jaskółek i pozostała daleko w tyle za czarną chmurą, jakby się ociągając w odlocie...

...U nogi jej świeciło w słońcu srebro.

To była nasza Sonia!...

— „Droga Sonia".

Czerwcowe, rozbudzone słońce lśniło na białej pianie fal spokojnego dziś Bałtyku...

Od trzech dni byliśmy na morzu.

Przed nami czekały tygodnie wędrówki, długie tygodnie życia na fali.

Motor łodzi odpoczywał, olbrzymie, białe żagle nadęły się morskim wichrem i niosły nas w bezkresną, morską dal...

Sennie — sennie — sennie...

Ja siedziałem na zwoju lin naszego yachtu „Tęsknota" i dumałem zapatrzony w morze. Obok mnie siedział „kapelan" i pobrzękiwał coś na rozstrojonych strunach swej starej gitary... Dziewczęta gotowały strawę, słychać było mocny syk prymusa, pod kociołkiem wrzącej już wody morskiej na herbatę. Przy sterze stał wyprostowany dumnie i zapatrzony w dal lub na igłę busoli, z twardymi i silnymi, jak u niedźwiedzia rękami na zębach sterowego koła nasz marynarz.

Właśnie kończyła się jego wachta, wstałem, by iść go zluzować, gdy wtem, po zrobieniu jednego kroku naprzód, nagle zatrzymałem się, jak przybity do pokładu.

Przedemną opadło coś na deski pokładu, spadając gdzieś z góry, z ponad rozszumionej na szczycie masztu biało-czerwonej bandery. Wydałem okrzyk zdumienia.

Przedemną leżało ciało jaskółki, z aluminjową obrączką na nóżce.

Ręce dziewczęce uchwyciły drżące jeszcze, ale już w agonji ciałko ptaka, pochyliła się złota główka nad błyszczącą w słońcu obrączką, i znowu ciałko wypadło na pokład, rozluźniły się palce dziewczęcej rączki, a z piersi wydarł się straszny, żałosny krzyk:

— Patrzcie! Patrzcie! „Droga Sonia!..."

Józwa o mało nie wypuścił steru z rąk. Na pokładzie zapanowała cisza okropna, bolesna, a z wszystkich ócz polały się wolno rzęsiście, szkliste łzy.

Płakaliśmy wszyscy, płakali długo.

Marynarz pierwszy przyszedł do siebie.

— Słuchajcie! — rzekł — cholero, trzeba ją świętej pamięci, po królewsku pochować! Niech ma godny grób, kiej do nas — klawy port, psiakrew, trafiła!...

Zająłem miejsce przy sterze, a Józwa sam zajął się pogrzebem jaskółki. Wyszukał pudełko z konserwów i zaczął je czyścić, ale namyślił się coś i wyrzucił go za burtę. „Tu musi być jasna trumienka, gdzieby jej, cholera, słonko świeciło!" Wziął więc szklany słoik, wyścielił go strzępami jedwabnemi krasnej apaszki jednego z dziewcząt i trumienka była gotowa.

Teraz nastąpiła najsmutniejsza chwila. Ostatnie pożegnanie z Drogą Sonią... Ostatnie już... Okąpało się jej ciałko zimne w naszych łzach, wszyscy przytuliliśmy ją do piersi, mocno, mocno... Potem obwiązano Sonię biało-czerwoną wstążką, jak ciało bohatera narodowego, jak poległego lotnika sztandarem Polski. Włożono do szklanej trumienki, zakorkowano szczelnie otwór i obwinięto pęcherzem, poczem z pieśnią: „W mogile ciemnej śpij na wieki" opuszczono słoik na morze.

Ściągnięto banderę do połowy masztu... salutowano Drogą Sonię.

Odpływała na zawsze, na wieki.

Prawie przez głośnik radja rozległ się donośnym głosem krakowski hejnał i przy jego dźwiękach, odpłynęła „Droga Sonia" z pod nadmorskiej, helskiej strzechy...

„Droga Sonia" na zawsze, przeszytem, z rozpęknionem małem serduszkiem...

Szklana puszka stała na oczach i zdała się za nami płynąć, płynąć...

— Całym wiatrem! — wydarł się okrzyk ze wszystkich prawie piersi.

— Uciekać!... Uciekać daleko!...

Rozwinęliśmy białe żagle. Yacht nachylił się na prawy bok i począł pruć toń siną Bałtyku.

W oczach ciągle stały nam łzy, serce przepełnione było wzruszeniem.

„Kapelan“ nie mówiąc do nikogo nic, począł grać na gitarze.

Ale nam się zdało, że słyszymy pogrzebne dzwony, gdzieś na dalekiem morzu.

Zachodzące słońce, zanurzając się w Bałtyku, krwawiło purpurą.

A Bałtyk zdawał się zapowiadać burzę, pomrukując zcicha i niosąc jakiś szum zdaleka w stronę naszych serc.

Bandera na szczycie masztu, podniesiona już z powrotem, zdała się całkiem obojętnie nucić:

— Droga Sonia!... Biedna Sonia!...

Jacek Orlik.



Poradnik gospodarczy.

Tuczenie świń ziemniakami.

Pomimo wysokich cen używa ich niejeden gospodarz do tuczenia świń, a przynajmniej jako ważnego dodatku do innej paszy. Pozostałe z przebranych ziemniaków, małe i niepozorne, a zatem tanie, nadają się do tego bardzo dobrze. Zawarte w ziemniakach materje pożywne, mianowicie mączka i cokolwiek białka, służą doskonale żołądkowi świni.

W latach, w których się ziemniaki obficie obrodziły i stąd w cenie spadły, trzeba tuczyć niemi świnie, jest to bowiem najlepsze ich zużycie. Im więcej ziemniaków tem większe wymagania mają kupujący. Wskutek tego trzeba je o wiele staranniej przebierać i sprzedawać tylko najlepsze. Ale tem więcej jest odrzuconych i temi trzeba tuczyć świnie. Niektórzy twierdzą, że przy cenie 6—7 zł. za cetnar jeszcze korzystnie jest dawać je trzodzie. Jeżeli mięso wieprzowe ma jaką taką cenę, to twierdzenie to zupełnie jest słuszne, nawet jeżeli cetnar ziemniaków kosztuje 6 do 7 zł. i cena mięsa wieprzowego nie jest zbyt niska, to zawsze jeszcze opłaci się tuczenie świń ziemniakami.

Przy wysokich cenach ziemniaków, a średnich lub niskich cenach jęczmienia, zaleca się naturalnie tuczenie śrutem jęczmiennym, ale jeśli się ziemniaki dobrze obrodziły i w cenie spadły, to znów tuczenie ziemniakami jest korzystniejsze. Jest to o tyle lepsze, że można zużyć pośledniejsze ziemniaki i nie potrzeba sprowadzać zagranicznego a dosyć drogiego jęczmienia na paszę.

Ziemniaki jednak za mało mają mączki, aby wyłącznie tuczyć niemi świnie. W małych gospodarstwach tuczą tylko ziemniakami, lecz metoda ta jest zupełnie fałszywa i można ją wyzyskać o wiele lepiej dodaniem innej jeszcze paszy, naprzykład śrutu jęczmiennego i zbieranego mleka, licząc na 100 funtów ciężaru żywego 6 funtów ziemniaków, 2 funty śrutu jęczmiennego i 4 litry zbieranego mleka. Jeżeli żyto tanie, można część jęczmienia zastąpić żytem.

Jeżeli chodzi o to, aby tuczniki rosły, to tucząc je przeważnie ziemniakami, należy dodać do nich cokolwiek wapna, dlatego, że w ziemniakach bardzo mało jest zawartości wapna. Wystarcza zupełnie dawać trzy lub cztery razy w tygodniu 15—20 gramów wapna, licząc tyle na każdego tucznika. Ziemniaki powinny być gotowane lub parowane i zmieszane z śrutem, tworzy to gęstą masę, którą tuczniki żrą bardzo chętnie.

Dychawica u koni.

Jedną z najbardziej częstych chorób, na jaką zapadają konie, jest dychawica, którą niewłaściwie przezywają w niektórych okolicach kraju podpaleniem. Objawia się choroba ta nieustanną dusznością, pochodzącą wskutek rozdęcia płuc z powodu szybkiego biegu i ciągnienia zbyt ciężkich ciężarów. Prócz tego duszność objawia się również wskutek zakurzonej lub zepsutej paszy, a także sprowadza ją często żywienie koni roślinami strączkowemi, jak np. grochem, bobem i t. p.

Chorobę tę poznać można łatwo, bo koń dychawiczny oddycha podwójnie, pierwszy oddech jest krótszy a drugi dłuższy. Przy tem następuje wstrząśnienie całego ciała, a podczas biegu męczy konia kaszel krótki a głuchy.

Dlatego też koń dychawiczny łatwo się poci, zadycha i jest niezdatny ani do pracy, ani dłuższego ruchu, podczas którego często uczuwa brak tchu, powodujący nawet uduszenie.

Koń dychawiczny nie ma żadnej gorączki, ma apetyt dobry, dobrze wygląda, tylko przyspieszony oddech i tak zwane robienie bokami daje nam poznać odrazu chorobę. Gdy go się zaś uściśnie za gardło, wówczas kaszle głosem słabym i przytłumionym. Podczas i po biegu, gdy koń się zmęczy, oddycha 60 do 70 razy na minutę, a przytem całe ciało się porusza, kiszka zaś odchodowa przy każdym wdechu wyłazi nazewnątrz, przy wydechu zaś powraca na miejsce.

Dychawica jest bardzo trudna do wyleczenia, a raczej daje się ona wyleczyć tylko w początkach. Wówczas należy jeno trzymać konia ciepło, unikać przeziębienia, t. j. nagłego przechodu z miejsc ciepłych do zimna, i żywić pokarmami lekko strawnemi (otręby, buraki, marchew) a za napój dawać gotowane siemię lniane z dodatkiem nieco soli kuchennej lub glauberskiej. Unikać zaś należy karmienia sianem lub słomą.

W Anglji używają zwykle jako lekarstwa na dychawicę wody smołowej, która sporządza się w ten sposób: w 20 kwartach wody moczą kulkę smołową wielkości jaja kurzego w przeciągu 10 do 12 godzin. Za każdym razem, gdy podają napój ten koniowi, wprzód go dobrze skłócą. Koń zrazu niechętnie pije tę wodę, to też dla zachęty domieszywa się z początku otrąb lub mąki jęczmiennej, póki się nie przyzwyczai do napoju.

Gdyby podane przez nas środki nie pomogły zwierzęciu, naówczas należy zwrócić się do weterynarza, który umie w każdym razie umniejszyć cierpień dychawicznemu koniowi, choć zupełnie go nie wyleczy z tej nieuleczalnej — jak powiedzieliśmy — choroby.

KRONIKA.

Nasze powieści. W numerze 1 „Roli“ z 1931 r. rozpoczniemy równocześnie druk dwóch nowych powieści, a mianowicie historycznej i awanturniczej. Pierwsza z nich przeniesie nas w czasy XVII wieku, kiedy to nasi praojcowie zmagali się z wrogami, którzy ze wszystkich stron Ojczyźnie naszej grozili. Tłem powieści będzie wyprawa przeciw Turkom, na której kanwie rozsnują się afekty miłosne trzech osób, a mianowicie rotmistrza Plichty, Halszki Jaszczołdówny i uroczej córki kupca ormiańskiego Ibraima Mitrasa, Admy. W drugiej przeżyjemy wraz z jej bohaterem tysiączne przygody na odludnej wyspie, do której nigdy żaden okręt nie przybijał. Obydwie powieści pisane są stylem nadzwyczaj zajmującym, a treść ich przykuwa uwagę Czytelnika od początku do końca. Kto chce więc mieć całość tych powieści, niech nie zwleka z nadesłaniem prenumeraty, aby później początkowych numerów nie brakło. Zważywszy na nadzwyczaj obfitą treść literacką „Roli“, na wielką ilość informacyj w „Kronice“ i „Rzeczach ciekawych“, na liczne i piękne ilustracje i pokaźną objętość każdego numeru „Roli“, każdy przyznać musi, że „Rola“ jest najtańszem i najlepszem pismem ku pouczeniu i rozrywce w całej Polsce.

Do następnego numeru „Roli“ dołączymy czeki dla wszystkich naszych Prenumeratorów.

Otwarcie Sejmu i Senatu. We wtorek dnia 9 b. m. odbyło się otwarcie Sejmu i Senatu; Sejmu o 12 w południe, Senatu o 4 po południu. Wchodzących na salę ministrów powitali posłowie burzą oklasków, poczem prezydent ministrów W. Sławek odczytał orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, a następnie poruczył przewodnictwo Andrzejowi ks. Lubomirskiemu, jednemu z najstarszych wiekiem. Po złożeniu ślubowania poselskiego przystąpiono do wyboru marszałka Sejmu. Na 407 obecnych posłów oddano 300 ważnych głosów, Dr. Kazimierz Świtalski (BBWR) otrzymał 238, zaś Aleksander Zwierzyński (N. D) 62 głosy; członkowie Centrolewu oddali kartki puste Po południu nastąpiło otwarcie Senatu i wybór marszałka Oddano 108 głosów, w tem 33 kartek pustych. Wszystkie ważne głosy otrzymał sen. Raczkiewicz i on został wybrany marszałkiem Senatu

Otwarcie Sejmu śląskiego. Równocześnie z otwarciem Sejmu Rzeczypospolitej nastąpiło otwarcie Sejmu śląskiego. Na pierwszem posiedzeniu dokonano wyborów. Marszałkiem został wybrany p. Wolny, wicemarszałkami: Dąbrowski (BB), Pant (Niemiec), Kędzior (Ch. D.) i Gajdas (Ch. D).

Podatek wojskowy. Nowe rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej postanawia, że osoby, zwolnione całkowicie lub częściowo od obowiązku służby wojskowej, płacą podatek wojskowy, który w całości lub w części może być przekazany na rzecz gmin miejskich i wiejskich. Wysokość i sposób poboru podatku, oraz jego podział między państwo a gminy ustali Rada ministrów. Rozporządzenie to posiada moc obowiązującą od 1 stycynia r. b. Zarządzenie to uważamy za zupełnie słuszne, łatwiej bowiem zapłacić kilkanaście złotych, niż służyć kilkanaście miesięcy przy wojsku a po wysłużeniu odbywać kilkotygodniowe ćwiczenia.

Obrabowanie cerkwi w Stryju. W ubiegłym tygodniu dokonano świętokradzkiego włamania do cerkwi na Łanach Dolnych w Stryju. Sprawcy rozebrali mur pod oknem i przez uczyniony w ten sposób wyłom dostali się do wnętrza. Zabrali oni złote kielichy, monstrancje i inne kosztowne przedmioty, poczem zbiegli w niewiadomym kierunku. Istnieje przypuszczenie, że przybyli oni do Stryja autem, którem następnie uciekli ze skradzionymi przedmiotami. Na miejsce włamania przybyli: kierownik urzędu śledczego z wywiadowcami, oraz zastępca prokuratora celem przeprowadzenia śledztwa.

Przez zazdrość do zbrodni. Przed kilku laty ożenił się Franciszek Sucharski, urzędnik kolejowy, ostatnio w Sąsiadowicach, pow. Sambor, z nauczycielką z Sąsiadowic, Walerją Sochacką. Pożycie małżeństwa przez jakiś czas było zgodne. Z biegiem czasu zaczęło się ono psuć. Przyczyną pogarszania się stosunków było, że wąż zazdrości, zresztą zupełnie bezpodstawnie, zakradł się do serca obojga. Zaczynało się od głupstw, a kończyło się na kłótni. Stan ten potęgował się. Szczególnie przybrał szersze rozmiary, gdy przed kilku miesiącami p. Sucharski zmuszony nagle wyjechać służbowo, w pośpiechu nie pocałował żony na pożegnanie. Zaczęły się wymówki, przytyki, insynuacje. Pogorszenie się stosunków między małżonkami nie uszło uwagi sąsiadów. Szeptano między sobą, że to się źle skończy. Niestety, te przewidywania się sprawdziły. Onegdaj w ciągu takiej kłótni małżeńskiej, zirytowany p. Sucharski chwycił siekierę i zadał nią żonie kilka ciętych ran w głowę. Po tym strasznym czynie przeciął sobie żyły u rąk i koło gardła, a nadto strzelił do siebie z dubeltówki. Oboje ciężko rannych zabrano do szpitala. Dzięki pomocy szpitalnej oboje będą żyli. P. Sucharski ma uszkodzoną prawą szczękę i jest zeszpecony na całe życie. Po wyzdrowieniu będzie musiał odpowiadać za usiłowane zabójstwo żony. Tak więc chorobliwa zazdrość zniszczyła szczęście małżeńskie i unieszczęśliwiła troje dzieci.

Po śladach krwi. Do urzędu śledczego w Łodzi zgłosił się handlarz nierogacizny J. Wroński, zamieszkały w Andrzejowie, donosząc o kradzieży kasetki, w której znajdowało się 16 dolarów, 1.700 zł. w banknotach oraz kilkanaście sztuk monet złotych. Jako szczegół charakterystyczny Wroński podał, że na banknotach dolarowych zarówno jak i polskich widoczne są ślady krwi zwierzęcej, którą splamione zostały w czasie okaleczenia jednego z transportowanych wieprzy. Policja wszczęła obserwację wśród znanych złodziei włamywaczy. Ustalono, że jeden z nich B. Bogusławski wyjeżdżał często do Kalisza i Warszawy. Gdy Bogusławski powrócił onegdaj z drogi, policja zatrzymała go. Przy rewizji osobistej znaleziono przy nim kilka banknotów z wyraźnymi śladami krwi. Bogusławski został do czasu wydania orzeczenia ekspozytury osadzony w areszcie. W mieszkaniu przyjaciółki Bogusławskiego, Anny Kaweckiej, ujawniono kilka banknotów polskich również poplamionych krwią. Kawecka oświadczyła, że jest to krew z nosa. Badanie chemiczne ustaliło jednak, że krew na banknotach jest krwią zwierzęcą, w wyniku czego policja aresztowała Kawecką jako wspólniczkę Bogusławskiego. Oboje przyznali się do popełnionej kradzieży na szkodę Wrońskiego.

Taniec szaleńca w blaskach pożaru. We wsi Litowice (pow. włodzimierski) straż pożarna wezwana została do ognia. Gdy strażacy przybyli na miejsce pożaru, oczom ich przedstawił się tragiczny i groteskowy zarazem widok. Właściciel płonącego gospodarstwa, Piotr Muzyka, w stroju Adamowym, z płonącą żagwią w ręku tańczył dookoła pożaru i podpalał dalsze zabudowania. Człowiek ten, od pewnego już czasu chory umysłowo, stał się przyczyną nieszczęścia. Furjata ubezwładniono po długich z nim zmaganiach się. Gospodarstwo spłonęło doszczętnie.

Męczennicy za wiarę. Prześladowani przez bezbożników sowieckich włościanie wsi Mały Kurhan na

Ukrainie, postanowili w liczbie kilkunastu osób pozbawić się życia. Chłopi zebrali swoje rodziny w jednej chacie i podpalili ją. W ógniu zginęło 38 osób. Podczas pożaru włościanie śpiewali psalmy i pieśni religijne i zachęcali do wytrwania słowami: „Idziemy do Boga“.

Krwawa rewolta chłopska. Z nad granicy sowieckiej donoszą o krwawej rewolcie chłopskiej, która miała miejsce w miasteczku Kuryłówce Murowanej na Podolu na tle rekwizycji zbożowej. Tłum chłopów zamordował kilku urzędników sowieckich. Większy oddział wojska sowieckiego wysłany z Mohylewa na Podolu otoczył osadę, używając artylerji celem stłumienia rozruchów. O masowej rzezi włościan ukraińskich dochodzą przerażające wiadomości. Podobno około 100 włościan mężczyzn i kobiet padło ofiarą egzekucyj sowieckich. Wypadek ten wywołał wstrząsające wrażenie wśród ludności ukraińskiej.

Rozpaczliwy czyn chłopa rosyjskiego. Z Mińska donoszą: We wsi Smokownica zdarzył się tragiczny wypadek, który dosadnie charakteryzuje stosunki, jakie wytworzyły się w sowietach w związku z kolektywizacją czyli upaństwowieniem gospodarstw rolnych. Mieszkańcowi tej wsi, Aleksandrowi Gubarowowi, dość zamożnemu gospodarzowi, oświadczono, iż jego gospodarstwo zostało włączone do kolektywy, a wobec tego, iż jest on „kułakiem“, zostanie wysłany na roboty przemysłowe wraz z rodziną, składającą się z żony i 4 drobnych dzieci. Fakt ten popchnął Gubarowa do szalonego czynu. Wróciwszy z sowietu, gdzie zakomunikowano mu tę decyzję, wydostał z ukrycia karabin i nabiwszy go zapasem naboi, wrócił z powrotem do sowietu. Tu celnymi strzałami położył trupem prezesa sowietu Pawłowa i komisarza kolektywizacji Tichomirowa. Dokonawszy zabójstwa, wrócił do domu, grożąc śmiercią każdemu, kto się zbliży. Gdy z płonących budowli zostały już tylko zgliszcza, Gubarow rzucił się do studni i utonął.

Jęcząca czaszka. Gmina Worsley w Walji (Anglja) od 300 lat przechowywała w swoim urzędzie gminnym czaszkę, o której było podanie, ze należała niegdyś do tamtejszego księdza katolickiego, Ambrożego Barlow. W czasach największego prześladowania katolicyzmu księdza tego skazano na śmierć i ścięto za potajemne odprawianie mszy św. Od tego czasu gmina Worsley przechowywała jego czaszkę z głęboką czcią i z jeszcze głębszem przekonaniem, że wszelkie naruszenie jej spokoju wróży wielkie nieszczęście dla całej gminy, a na ewentualnego świętokradcę musi sprowadzić nieszczęście Czaszka ta znana była pod nazwą „jęczącej czaszki“, gdyż panowało przekonanie, że o północy, gdy nikogo niema w miejscu jej przechowywania, z czaszki wydobywały się żałosne skargi i jęki. Wszyscy Walijczycy, a w szczególności mieszkańcy Worsley, wierzyli w to podanie święcie i pilnie strzegli, aby nikt niepowołany nie tknął relikwji po księdzu męczenniku. Jakież więc było ich przerażenie, kiedy w tych dniach spostrzegli, że ktoś się włamał do zamkniętego urzędu gminnego i zabrał w niewiadomym celu niebezpieczną relikwję. Powstała formalna panika, gdyż mieszkańcy zaczęli oczekiwać strasznej jakiejś katastrofy, któraby spadła na całą wieś. Kiedy jednakże pierwsza oznaka tej katastrofy, a mianowicie nieszczęście, mające spaść na złodzieja, nie nastąpiło, bo nikt z okolicznych mieszkańców nie umarł nagle, nie złamał ręki lub nogi, ani nie dostał się do szpitala warjatów, ustaliło się nowe wyjaśnienie zdarzenia, które uspokoiło ludzi. Zaczęto mianowicie opowiadać, że w ostatnich dniach przed zniknięciem widziano po nocach snującą się jakąś mglistą postać po ulicach wsi i dookoła urzędu gminnego, a nawet po jego korytarzach, oraz że strażnicy gminni słyszeli, jak duch ten rozmawiał z jęczącą czaszką, a potem znikł, a z nim znikła i relikwja. Z tego wyciągnięto wniosek, że duchem owym był sam ksiądz Ambroży Barlow, który powrócił z tamtego świata, ażeby odebrać swoją głowę. Zdaje się, że było to najlepsze wyjaśnienie rzeczy, choć nieprawdziwe, aby uspokoić wystraszonych ludzi.

Żarty z policjanta. Policja angielska słynie na cały świat z grzeczności wobec publiczności i niezwykłej sumienności zawodowej. Do licznych zadań policji należy dziś, jak wiadomo, także pilnowanie, by właściciele samochodów nie jeździli zbyt szybko, co połączone jest z niebezpieczeństwem dla życia przechodniów



Tymczasem angielscy bogacze urządzają ustawiczne psikusy sumiennej policji tamtejszej. Jeżdżą jak warjaci, a gdy nader służbisty i zazwyczaj dobrej tuszy pan policjant pędzi za mknącym samochodem, aby zanotować sobie jego numer i właścicieli pociągnąć do odpowiedzialności, zasłaniają numer czapkami, kpią w oczy z zaniepokojonego służbisty i kłaniają mu się szyderczo. Taki właśnie wypadek jest przedstawiony na naszej rycinie.

Dziewiczy las pod Londynem. Niezwykłe niebezpieczeństwo zagraża spokojowi i dobrym obyczajom, panującym w podmiejskich okolicach Londynu, oraz innych wielkich miast Anglji. Kiedy w zeszłym roku wybuchła na wiosnę zaraza papuzia, władze angielskie nietylko wzbroniły świeżego importu papug do kraju, ale poradziły dotychczasowym ich właścicielom, aby jak najszybciej starali się pozbyć ich w jakikolwiek sposób. Wówczas setki Londyńczyków udało się do okolicznych lasów, wypuszczając więzione dotychczas po klatkach papugi na wolność. Otóż obecnie lasy te, zwłaszcza las w Epping, w pobliżu stolicy, pełne są tych ptaków, przeistaczających las podlondyński w dziewiczy bór nad Amazonką. Bogato upierzone, pstrzące się jaskrawemi barwami ptaki napełniają ciche lasy swojemi krzykami, ale, co gorsze, i bogatym repertuarem często wcale niecenzuralnych słów i zdań, jakich nauczyli ich dawni właściciele.

Pochód szczurów. Wskutek niedawnego wylewu rzeki Lea w Walji mieszkańcy okoliczni byli świadkami niezwykłego zjawiska. Oto wszystkie szczury z doliny zalanej powędrowały drogą, wiodącą z Edmontonu w stronę lasu Epping. Wędrująca armja wstrętnych, rudych stworzeń, zajęła całą szerokość drogi, a zastępy te ciągnęły na przestrzeni kilkuset metrów, zmuszając do ucieczki robotników drogowych i nadjeżdżających cyklistów. Dopiero auto ciężarowe nie cofnęło się przed szczurami i wyrządziło wśród nich rzeź prawdziwą, niemniej jednak dalsze tysiące szczurów, uciekających przed potworem, napełniły rowy przydrożne. Podobną wędrówkę szczurów widziano w Anglji poraz ostatni w ro-

ku 1899, również wskutek powodzi. Wówczas uległa zalaniu część Londynu i setki tysięcy szczurów z dzielnic zalanych pociągnęło w stronę zachodniego Lunexu. Szczury ciągnęły wówczas drogami tak gromadnie, że mieszkańcy domów przydrożnych nie śmieli opuszczać mieszkań. pozamykawszy je szczelnie. Koty w panicznej ucieczce zemknęły na płoty i dachy i jeszcze długi czas potem nie można ich było skłonić do wyjścia w pole.

Zakonnica z rewolwerem. Donoszą z Rennes we Francji o dziwnej przygodzie, która spotkała pewnego kupca. Podczas podróży samochodowej kupiec napotkał zakonnicę i poprosił ją o zajęcie miejsca w jego automobilu. Jednakże ku swemu wielkiemu zdziwieniu kupiec zauważył, że rzekoma zakonnica posiada wyraźnie basowy głos męski. Nie tracąc przytomności umysłu, kupiec zatrzymał auto pod pozorem defektu w motorze. Gdy rzekoma siostra zakonnica wysiadła, kupiec puścił w bieg motor i odjechał z wielką szybkością. Jak uzasadnione było jego podejrzenie może posłużyć fakt, że fałszywa siostra pozostawiła w samochodzie teczkę skórzaną, w której znajdowały się... dwa rewolwery, dwa sztylety oraz szereg rozmaitych przyrządów służących do włamania.

Tragedja miłości. Niezwykły dramat, rzucający ciekawe światło na psychologję kobiecą, rozegrał się niedawno przed sądem przysięgłych w Sztokholmie. Jako oskarżony stanął b. rotmistrz i właściciel dób ziemskich hr. Eryk Boström, któremu prokurator zarzucił, że w pojedynku na ciężkie szable zranił swego dalekiego kuzyna, powodując u niego trwałe kalectwo. Tło zatargu było dość banalne. Hrabia Eryk był od kilku lat żonaty i żonę swą ubóstwiał. Idyllę życia rodzinnego przerywa nagłe zjawienie się „tego trzeciego“, który znalazłszy z racji pokrewieństwa przystęp do domu, umiał również trafić do serca jego pani. Pewnego dnia podczas zabawy hr. Eryk zastał żonę z kuzynem w sytuacji, która wprawdzie jeszcze niczego nie dowodziła, ale była dostatecznem potwierdzeniem podejrzeń, że wśród obojga „coś“ powstaje. Następstwem tego epizodu była burzliwa rozmowa obu mężczyzn. Hr Eryk wymawia kuzynowi dom. Ten odpowiada obelgą. Epilog — pojedynek i sąd. Żona hrabiego wezwana została jako świadek. Mimo pouczenia przewodniczącego, że wolno jej uchylić się od zeznań, oświadcza, że pragnie zeznawać i woła: „Chcę powiedzieć tylko jedno: Obu kochałam!“ Po tych słowach błyskawicznym ruchem wyciąga rewolwer, strzela i pada na ziemię bez życia. Samobójstwo, wykonane z tak niezwykłych motywów, wywołało wstrząsające wrażenie. Rozprawę przerwano do następnego dnia, a sędziowie przysięgli wydali po kilkugodzinnej naradzie wyrok uwalniający. Hr. Eryk, kompletnie złamany, odwieziony został do domu, gdzie jako jedyne wspomnienie po tak tragicznie zniszczonem szczęściu pozostała mu 4-letnia córeczka.

Wychowanek małp. Wiele znamy historji o tem, jak to małpy porywały dzieci, jak dzieci te, żyjąc wśród małp, stawały się pół ludźmi, pół małpami. Ani jedna z tych opowieści nie była jednak potwierdzona faktami. Tym razem gazety angielskie, przynosząc podobną historję, ręczą całkowicie za prawdziwość opowiadania, potwierdzonego przez autorytatywne czynniki i powagi lekarskie. Przed trzydziestu laty w okolicy Port.-Alfreda młoda murzynka pozostawiła w cieniu drzewa swoje niemowlę i sama spokojnie ułożyła się do snu. Gdy po godzinie obudziła się, ujrzała z przerażeniem, że dziecko zginęło. Przeszło 14 lat. Pewnego pięknego dnia grupa myśliwych ujrzała na drzewie młodego murzynka, bawiącego się z dwiema małpami. Niezwykły ten widok zaintrygował w najwyższym stopniu myśliwych. Zastrzelono więc obie małpy, ą murzynka pojmano. Nie obeszło się zresztą bez większych trudności, chłopak bowiem bronił się rękami, pazurami, zębami. Trzeba było go związać a po przewiezieniu do miasta oddać do lecznicy dla umysłowo niedorozwiniętych. Ponieważ murzynek nie umiał mówić i wydawał tylko jakieś nieludzkie dźwięki, musiano go uczyć mowy ludzkiej. Trzeba było poświęcić wiele czasu i starań, aby doczekać się jakichkolwiek rezultatów i aby człowiek-małpa wymówił choć kilka zrozumiałych dla otoczenia słów. Jednakże mimo wieloletnich starań nie udało się nauczyć chłopca w zupełności władania sztuką mowy. W chwili obecnej pół człowiek pół małpa liczy 30 lat i pracuje na jednej z ferm pod Port Alfredem. O swoim dzieciństwie opowiada dosyć chętnie. Małpy opiekowały się nim bardzo czule, karmiły, jak swoje dzieci, a w chłodne noce grzały własnem ciałem. Jeżeli jednak okazywał nieposłuszeństwo, karały go w surowy sposób, gryząc z taką siłą, że ślady tych ugryzień pozostały mu już na całe życie. Wiele małpich nawyczek zachował murzyn i do chwili obecnej. Potrafi naprzykład na jednem posiedzeniu zjeść pół wiadra rozgotowanych kartofli. Najbardziej łakomym jest na żywe gołębie, kurczaki i t. p. Ukręca im szyję i zjada w całości wraz z piórami i wszystkiemi wnętrznościami. Ręce murzyna małpy niezwykle są rozwinięte. Wychowanek małp potrafi z wielką łatwością wejść na najwyższe drzewo, skakać z gałęzi na gałąź lub wisieć godzinami na rękach, a nawet nogach. Prawdziwość tego wypadku potwierdzają również miejscowi mieszkańcy, którzy twierdzą, ze porywanie dzieci przez małpy jest bardzo częstem zjawiskiem.

Średniowieczne tortury w Ameryce. Sensacją dnia w Ameryce jest ukazanie się książki, noszącej tytuł „Trzeci stopień“, a napisanej przez Emanuela Lavine, znanego dziennikarza i policyjnego reportera, który zna dokładnie metody śledcze policji amerykańskiej. Otóż Dr. Levine twierdzi, że metody, objęte fachową nazwą „Trzeciego stopnia“, nie ograniczają się do nękania ciągłemi pytaniami krzyżowemi podejrzanego przez wielu równocześnie agentow całemi godzinami, a nawet dobami, ale stanowią formalny system tortur, przypominający tortury średniowieczne. System ten obejmuje od kilku uderzeń w głowę pałką policyjną, aż do sposobów, których autor nie może opisać w druku. Ale to co może opisać i co powiada, wystarcza. Mianowicie p. Levine przysięga się n. p., że widział na własne oczy, jak usiłowano wymusić zeznania, uderzając aresztowanego w głowę co 30 sekund, grubą kiszką gumową, albo przywiązując go do fotelu dentystycznego, przyczem dentysta szarpał jego dziąsła ordynarnemi szczypcami. Pomimo tych wyszukanych tortur, zbrodnia szerzy się w Stanach Zjednoczonych do tego stopnia, że w suterenach Nowego Jorku można w każdej chwili nająć mordercę za cenę od 250 do 3.000 zł. przyczem wysokość wynagrodzenia zależy od ważności osoby upatrzonej do zamordowania. Zdaniem książki p. Lavine'a, wielką winę ponoszą sędziowie amerykańscy, których względność dla zbrodniarzy ma źródło swoje w tem, że godność sędziowską uzyskuje się w Stanach Zjednoczonych w drodze wyborów, tak, iż ze zbrodniczością w Ameryce nie położy się końca tej wyborczej hańbie nowoczesnej cywilizacji.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

RZECZY CIEKAWE.

Jak powstaje książka?

Słowo drukowane jest otoczone wśród nas jakimś dziwnym nimbem tajemniczości. Dla kogoż z nas świat powstawania i tworzenia się książki nie należy jakby do doziemskich krain, do których dostęp ma tylko nieliczna garstka „wybranych", to jest autorów, a wtajemniczeni są również nieliczni mistrzowie sztuki drukarskiej. Dlatego ze złośliwą przyjemnością i ochotą chcemy uchylić rąbka tej tajemniczej zasłony, jaka pokrywa powstawanie książki, aby zaznajomić ciekawe czytelniczki, a pono i niemniej ciekawych czytelników z rozwojem powstawania drukowanego słowa. Z góry uspokajamy i przestrzegamy, że nie są to jakoweś fachowe (czytaj „nudne") uwagi specjalisty, lecz swobodne spostrzeżenia tak zwanego popularnie „kibica", któremu udało się wtargnąć za kulisy drukarstwa.

Jakiś poczciwy człowieczyna puka do drzwi zarządu drukarni. Ubranie na nim wytarte (to znaczy na tym człowieku, a nie na zarządzie), krawatka skrzywiona, buty mniej niż więcej całe. Jak więc z opisu dosadnie widać, może to być tylko człowiek nauki, inteligent pracujący, krótko mówiąc nasz szcigodny „autor" (nie tego fejletonu, lecz „wogóle"). Wręcza nieśmiało rękopis (manuskrypt) swej rozprawy dyktatorowi w zakresie jej ukazania się na światło dzienne... samemu panu kierownikowi drukarni.

Rękopis otrzymuje składacz (zecer). Taki pan stoi sobie w dużym pokoju, zwanym składalnią lub składownią (zecernią) przed wysokim pulpitem i składa. Co? Oczywiście czcionki. Na pulpicie leży przed nim pudło (kaszta) o licznych przegródkach. W każdej zaś przegródce leżą czcionki, ułożone w odpowiedni sposób.

Nie wszystkie pudła mają jednakowy układ czcionek w nich. Jest to wielka niedogodność dla składaczy, gdyż przyszedłszy pracować do nowej drukarni muszą przyzwyczajać się do innego układu czcionek w pudle. Opóźnia to szybkość ich pracy i powoduje błędy druku. Rozumieją to dobrze np. piszący na maszynie. Jeśli przyzwyczaimy się do pisania na jednej maszynie, to trudno nam potem na innej. Otóż w pudle w każdej przegródce leży jeden rodzaj czcionki, przedstawiający zawsze jakąś literę czy znak pisarski. Składacz bierze czcionkę z odpowiedniej przegródki i wkłada ją do foremki na wiersz czyli wierszownika (winkielaka). Gdy wyskłada już całą stronę (kolumnę) książki, wówczas odkłada ją na bok i robi z niej pierwszą odbitkę zwaną autorską lub częściej szczotkową. Odbitkę tą dostaje autor i poprawia na niej zauważone błędy. Następnie zwraca ją drukarni, gdzie składacz uwzględnia poprawki autora. Gdy układ jest gotowy i poprawiony, oddaje się go do hali maszyn, w której drukuje się egzemplarze książki.

Każda bowiem drukarnia składa się z dwóch sal. Jedną jest składalnia a drugą hala maszyn. W pierwszej składacze przygotowują układ książki. W sali zaś maszyn pracują maszyniści, pomocnicy, nakładaczki i odbieraczki przy druku układu, ułożonego przez składaczy. Dwa te działy pracy są zupełnie od siebie różne i mają odmienne stosunki higjeniczne. Toteż zasadniczo sale te powinny być oddzielone od siebie. Rozkład ich zależy jednak od warunków miejscowych drukarni. Niestety często kroć warunki te nie są zbytnio dogodne. Drukarnie bowiem mniejsze gnieżdżą się po suterenach, ciemnych, wilgotnych norach, w których przez cały dzień musi się pracować przy sztucznem świetle.

Każdy bowiem krój pisma musi posiadać osobne czcionki. Jedne są małe, drugie wielkie, jedne ozdobne, drugie skromne, jedne łacińskie, inne gotyckie, inne jeszcze rosyjskie (cyrylica) i t. p. Gdy składacz potrzebuje innego kroju pisma, wówczas wyjmuje odpowiednią szufladę, w której ma pudło z danem pismem i z niego dalej składa.

Mamy różnego rodzaju maszyny do drukowania. Zależnie od ich formy nazywają się one płaskiemi lub rotacyjnemi. Na maszynie płaskiej czcionki leżą płasko jak na stole. Z obu stron maszyny stoją pracownicy, przeważnie kobiety, które nakładają papier czysty na naszynę (są to tak zwane nakładaczki) i inne, które zadrukowane już arkusze odbierają z maszyny (odbieraczki). Nadzór nad maszyną mają maszyniści, którzy odpowiednio regulują dopływ farby drukarskiej na maszynie, puszczają maszynę w ruch i zatrzymują ją. Wielkie maszyny poruszane są przeważnie prądem elektrycznym. Pomniejsze jednak maszynki drukarskie porusza się nogą a nawet ręką w formie naciskania ręką dźwigni. Na maszynkach takich drukuje się mniejsze ulotki, bilety wizytowe, zaproszenia i t. p.

Arkusze zadrukowane zdejmuje się z maszyny i suszy. Następnie odbiera je introligatornia, która broszuruje lub oprawia książki.

Taka w dziennikarsko-feljetonicznym skrócie jest technika pracy przy druku książki. Oczywiście druk dziennika odbywa się inaczej ze względu na szybkość konieczną przy jego wydawaniu. Dlatego przy dziennikach wprowadzono różne ulepszenia, jak np. składania maszynowe na linotypach i drukowanie pośpieszne na maszynach rotacyjnych.

M. J. Ziomek.

Najwyżej położone miasta na świecie.

Peru, wyżynny kraj południowej Ameryki, może się poszczycić miastem położonem na wys. 4350 metrów, które jest najludniej zamieszkałem miastem świata na takiej wysokości. Miasto to nazywa się Serro de Pasco. Powstanie swoje zawdzięcza ono bogatym pokładom rudy srebra, które odkryli Hiszpanie jeszcze przed 100 laty, podczas zwycięskiego pochodu na południe — i natychmiast poczęli je eksploatować. Dzisiaj jednak w górach tamtejszych leżą jeszcze olbrzymie bogactwa w rudzie srebra. Wydobywanie szlachetnego metalu odbywa się obecnie w sposób racjonalniejszy, niż dawniej, zarówno przez państwo, jak i towarzystwa prywatne.

Podobnie jak Peru, posiada i Boliwja wysoko położone miasto górnicze, Potosi, również zbudowane przez Hiszpanów, na wysokości 3960 m. Miasto to jest szeroko rozłożone, z wielkimi placami i katedrą w maurytańskim stylu, która, jak i inne budynki, bogato jest ozdobiona i zaopatrzona. Ciekawe jest, że miasto to przed 150 laty posiadało 150.000 mieszkańców, a dzisiaj posiada ich zaledwie 1000. Dawne bogactwo miasta skończyło się prawdopodobnie bezpowrotnie i chyli się ono szybko ku ruinie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs wyborczy „Roli" otrzymaliśmy 756 odpowiedzi, w tem 127 trafnych. Nagrody wylosowali pp.: Jan Kapusta w N., Michał Nowak w Z., Stanisław Gurgul w D., Janina Motarska w Z., Karol Kopacz w D., Kazimierz Miazga w M., Walenty Przylasek w L., Jan Ko-

walski w D., Karol Pawłowski w Z. i Józef Kozik w J.

Pp.: **Władysław Łukasik** w Ch.: Ogromnie się cieszę, że znów po latach 16 nazwisko Pańskie znajdzie się na łamach „Roli", a przypuszczam, że i przedwojenni Czytelnicy również się ucieszą. Zaszczytne stanowisko naczelnego redaktora „Nadwiślanina", jakie Pan zajmuje obecnie, napawa mnie dumą, że mogłem przyczynić się choć w części do wybicia się Pańskiego w literaturze, zamieszczając pierwsze jego utwory na łamach „Roli". Bardzo to ładnie z Pańskiej strony, że mając swoją własną gazetę do dyspozycji, nie zapomniał Pan i o „Roli". Pierwszy z nadesłanych nam utworów zamieszczamy w dzisiejszym numerze. — **Antoni Majewski** w Z.: Wierszyków, o których Pan wspomina, nie otrzymaliśmy; prawdopodobnie gdzieś zaginęły w drodze. — **Wojciech Prucnal** w S.: Nagrody otrzymało tylko 10 osób, na które padł los. Niestety, Panu nie sprzyjał. — **Jan Bernyś** w G.: „Kolenda" zupełnie dobra, czy jednak zmieści się w świątecznym numerze, nie wiemy, gdyż mamy kilkanaście okolicznościowych utworów w tece, a możemy zamieścić nie więcej, jak dwa lub trzy. Do szkoły w tym wieku już dostać się trudno, chybaby do stolarskiej w Kalwarji Zebrzydowskiej, w urzędach na jedno mogące się opróżnić miejsce czeka dziesiątki kandydatów. Same obrazki do powieści „Ogniem i mieczem", „Potop" lub „Chłopi" byłyby bez znaczenia, drukowanie zaś tych powieści w „Roli" nie jest wskazane, albowiem większość naszych Czytelników zna je z wydań książkowych, więc nie czytałaby ich w „Roli". — **Marja Waller** w Rz.: I „Staśkowe szczęście" i „Szaleniec" bardzo dobre; dziękujemy serdecznie. Na przyszłość niech Pani nie pisze takim maczkiem, bo sobie w drukarni oczy popsują. List przeczytałem z całą przyjemnością i we wszystkiem przyznaję Pani słuszność. — **Jan Matuszkiewicz** w G.: Miałem zamiar zrobić coś podobnego, ale okazało się to rzeczą zbyt kosztowną. Zresztą wygląd mój zewnętrzny wcale nieciekawy; taki sobie ze mnie człowiek, jak i inni, a może się od ogółu różnię tylko tem, że kocham piękno, kocham literaturę i pracę dla społeczeństwa w miarę sił i zdolności. — **Jan Sawicki** w L.: Wszelkie dramatyczne opowiadania o Brześciu uważam za zwykłe baśnie; przecież tak poseł Witos, jak i inni posłowie, tam uwięzieni, gdyby to było prawdą, samiby o tem opowiedzieli. Oni milczą, bo widocznie kłamać nie chcą, a baśni również prostować nie mają ochoty. Zresztą żadne więzienie do rozkosznych zaliczać się nie może. — **Bogdan Jeżowski** w L.: „Życie" i „Nowy Rok" dobre, pozostałe dwa słabsze. — **Stanisław Olszowski:** Treść nadesłanego nam artykuliku bardzo piękna, ale opracowanie jeszcze nieco utyka. Nie wystarczy wypowiedzieć, co serce czuje, ale trzeba to ubrać w formę literacką. Talent Pan ma, więc i forma z czasem się wyrobi. Artykuły można posyłać tylko w listach opłaconych. — **W. Byczek-Breowicz** w K.: Ponieważ numer świąteczny musimy znacznie przyspieszyć, przeto artykuły do niego mamy już złożone w druku. Jeżeli się jeszcze po obliczeniu miejsce znajdzie, jeden z Pańskich zamieścimy. — **Józef Serafin** w M.: Artykuły otrzymaliśmy w ostatniej chwili przed zamknięciem numeru, nie zdołaliśmy ich jeszcze przeczytać. — **Józef Górecki** w K.: W piątek wieczór to trochę zapóźno, gdyż losowanie urządzamy w piątek po południu po przeczytaniu ostatniej poczty. — **Maderak Jakób** w P. N.: Wszystkie numera od Nr. 44 Panu posłaliśmy. Może Nr 48 w drodze minął się z kartką. „Rolę" ma Pan zapłaconą do 1 lutego 1931 r. — **Kołek Andrzej** w S.: Polskim czekiem w Czechosłowacji nadawać prenumeraty nie można, jak naodwrót czeskim czekiem w Polsce, urzędy pocztowe nie przyjmą. W Nr. 51 posyłamy Panu czek czeski. — **Izydor Błaś** w K.: Nadesłanych nam utworów słabych drukować nie możemy. Zadowoliłoby to może tylko tego, którego lichy utwór zamieścilibyśmy w „Roli", a znudziłoby natomiast tysiące innych Czytelników, a naszym postulatem jest właśnie wydawanie „Roli" zajmującej. Za miłe słowa uznania dla „Roli" dziękujemy. — **Józef Gorzołka** w H.: Kalendarze zostały wysłane 25 listopada b. r. i niech się Pan upomni w urzędzie gminnym w Hermanowicach. — **Kukulak Franciszek** w Ch.: Na rok następny na prenumeratę jest wpisane 3 zł. — **A. K.** z W.: Niech się Pan zwróci do księgarni: Kraków, ul. Gołębia 10/R. i załączyć znaczek na odpowiedź. — **Józef „od Wadowic":** Prosimy tak Pański, jakoteż od innych prenumeratorów jeżeli mają, odesłać nam, przylepiając znaczek.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył T. Frączek z R).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię szukane.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa na m. Śród.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Noszą źle widzący.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szczyt w Tatrach.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Państewko europ.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Widowiska Boże N.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kościół diecezalny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mały statek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Lekarstwo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa grecka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto biblijne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zdrojowisko.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko uczonego Polaka.

2. Szarady literowe.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Cztery szósta moja cała,
Co wśród pól widnieje zdala,
Cztery sześć pięć, trzecie mała...
Cieszy mnie i zadowala;
Trzy raz dwa! Wspomnę ją nieraz,
Błogie chwile.. Więc tylko żal
W duszy pozostanie teraz,
Kiedy odchodzić muszę w dal..

II.

Trzy cztery pięć sześć jest w domu,
Lecz co? — nie powiem nikomu!
Ale jeszcze to nadmienię,
Że raz dwa każdy codziennie.
A dalsze szarady wiersze
Mówią: Trzy cztery pięć pierwsze,
Bracie, zbożyczko ozimie,
Zanim cała nie przeminie!

3. Zagadki.

(Ułożył Piotr Glica z S. G.).

I.

Monetę i zwierza, złącz grecką literą,
Rozwiązanie w sejmie, mówię prawdę [szczerą.

II

Wprost nazwisko premjera Polski uko- [chanej,
Wstecz zaś owoc rośliny rzadko u nas [znanej.

III.

Wprost go dawniej używali w boju wo- [jownicy,
Wstecz to jakiś głos maszyny, zgadać czy- [telnicy.

4. Przestawianka.

Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Pan wójt dostaje butem na ogarek

II.

On, Antoni, Jan i Semen debatują nad kupą pni.

III.

Janie! Wiktor bierze resztę buta.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 49 „Roli": 1. Logogryf: Juljusz Słowacki. 2. Szarady literowe. I. Macioł. II. Poeta. III. Wojak. 3. Logogryf: Kost Bulij-Organista. 4. Zagadka: Wór-rów.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Wincenty Kula z M. K., Władysław Gąsienica z Z., Janina Pragłowska z Z, Józef Topolski z B., Wł. Sowiźrał z J., Piotr Wenc z S., Jan Grych z G., Stanisław Grych z G., Jan Tatar z G, Jan Gara z W., Jan Matuszkiewicz z G., Andrzej Fiedor z Z., Ignacy Sojka z D., Józef Cieplik z K., Józef Górecki z K.

Nagrody wylosowali pp.: Janina Pragłowska z Z. i Jan Grych w G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 16 grudnia b. r.

Pszenica	26·00—26·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto	20·00—20·50	Ziemniaki stoł.	6·00—6·50
Owies	21·00—21·50	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	20·00—20·50		
Fasola biała	45·00—47·00	Mąka żytnia	36·50—37·00
Groch zwyk.	30·00—35·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Siano słodk.	11·50—12·50	Otręby pszen.	14·00—00·00
Łubin żółty	25·50—26·50	Otręby żytnie	13·00—00·00
Koniczpastew.	15·00—16·00	Mąka czerw.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 16 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·90 do 1·28 zł.	Jałownik	od 0·85 do 1·24 zł.
Woły	od 0·85 do 1·35 zł.	Cielęta	od 1·90 do 1·98 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·62 do 2·05 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·90 do 2.40

Najpotrzebniejsze książki dla każdego
sprzedaje i wysyła

Księgarnia „Wiedza i Sztuka“

KRAKÓW, ul. Gołębia 10/R.

Wysyłka po otrzymaniu pieniędzy z góry. Przy kupnie do 3 zł. załączyć także na koszta wysyłki 60 gr., przy kupnie ponad 3 zł na koszta wysyłki załączyć 1 zł 30 gr. gotówką lub w znaczkach pocztowych.

WIELKI ARABSKO-EGIPSKI SENNIK, z wieloma ilustracjami, według dawnych źródeł wiedzy tajemnej, z uwzględnieniem najnowszych odkryć w tej dziedzinie, cena 6 zł.

SZTUKA WRÓŻENIA, ogólne zrozumiałe wyszczególnienie sztuki wróżenia z ręki, z twarzy, z miesiąca urodzenia, z kart i z fusów, z dodatkiem kabalistyczno-astronomicznej loterji, cena 2 zł.ESESHTHTRARARA astronomicznej loterji, koła fortuny, cena 2 zł.

NAJNOWSZA KABAŁA WSZECHŚWIATOWA czyli sztuka wróżenia z kart, według słynnej wróżki francuskiej Lenormand, z dodaniem 48 kart, razem 80 gr.

SALOMONIS, świat duchów i klucz do tego, wielka księga tajemnicza i t. p., cena 4 zł.

ÓSMA I DZIEWIĄTA KSIĘGA MOJŻESZA w oprawie 10 zł.

SZÓSTA I SIÓDMA KSIĘGA MOJŻESZA w oprawie 10 zł.

ALBERTUS MAGNUS, egipskie tajemnice dla ludzi i bydła 10 zł.

DR MUELLER: Najnowszy lekarz domowy z ilustr. 80 gr.

SZMURŁO: Jak zwalczyć brzydotę i starość, tajemnica podobania się — 2 zł.

MAJEWSKI: Tresura psa pokojowego — 3 zł. 60 gr.

JAK WINSZOWAĆ? — wielki zbiór powinszowań imieninowych, noworocznych i okolicznościowych — 3 zł.

ŚPIEWNIK MIŁOSNY, śpiewy miłosne, weselne, z operetek, krakowiaki i t. p. — 90 gr.

NAJNOWSZY FLIRT SALONOWY czyli tajemna rozmowa kwiatów — 50 gr.

NAJNOWSZA KUCHNIA WARSZAWSKA, zawiera 1200 przepisów różnych potraw — cena 3 zł.

KUCHNIA DOMOWA, praktyczna książka kucharska — 60 groszy.

STO PIĘĆDZIESIĄT POWINSZOWAŃ dla dziatwy szkolnej — 40 gr.

PANGEY: Zboczenia płciowe — 80 gr.

SAMIEC: Doświadczenie Elektrotechniczne, wprowadzenie w wykonywanie doświadczeń elektrotechnicznych przy użyciu najprostszych przyrządów, z 268 rysunkami w tekście — 12 zł. opraw.

SZYDELSKI: Majster do wszystkiego, przewodnik do robót amatorskich z 441 rysunkami i 4 tablicami, kolor. opraw. 10 zł.

SWEN HEDIN: Przez pustynie Azji, zajmująca książka dla młodzieży, opr. zł. 3.60.

MUENCHAUSEN: U ludożerców i inne opowiadania dla młodzieży, opr. zł. 3.60.

MICIŃSKI: Nerwowość, histerja, neurastenja i hypochondrja — zł. 1.50.

DR KARMA: Jasnowidzenie, wykład w obudzeniu drzemiących sił duszy ludzkiej, z licznemi doświadczeniami — 2 zł.

DR. CZ. PENDO: „Poradnik dla młodych mężatek. Małżeństwo, ciąża, płodność, poród. Sekretne sposoby małżeńskie, pielęgnowanie niemowląt“. Zł. 1.60.

DR. KAZIM. RADWAN-PRAGŁOWSKI. Spotęgowanie Woli. 4 tomiki Zł. 1.20.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Mnemonika“. Sztuka wyrobienia doskonałej pamięci. Usuwanie roztargnienia, wzmacnianie zdolności umysłowych. Zł. 2.—.

DR. M. ROSEN: „Życie seksualne a choroby weneryczne“. Syfilis, paraliż postępowy. Zł. 1.—.

DR. MISIEWICZ: „Samogwałt u mężczyzn i kobiet“. Jego skutki i środki wyleczenia. Zł. 2.—.

DR. MED. E. JOZAN: „Życie płciowe kobiety“. Znaczenie stosunków płciowych. Ciąża. Rozwój płodu. Poród. Cenne rady i wskazówki. Zł. 1.50.

DR. QUEYRAT: „Miłość i małżeństwo“. Uwodziciele. Shańbione dziewczęta. Handel żywym towarem. Związki nieślubne. Dzieci z nieprawego łoża. Sutenerstwo. Prostytucja. Policja obyczajowa. Zł. 1.50.

DR A. KORAB KORABIEWICZ: „Choroby weneryczne“. Uleczalność syfilisu i innych chorób. Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Zwycięstwo w miłości“! — Jak zdobyć miłość ukochanej osoby. Czary, amulety i talizmany. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Wielka księga cudów i tajemnic“ „Czarna i Biała Magja“. Tajemne praktyki, zaklęcia i recepty, z wielu ilustracjami. Zł. 4.—.

T. KUTZ: „Doświadczenia spirytystyczne — stoliki wirujące“. Jak urządzać seanse spirytystyczne. — Zjawiska, eksperymenty i doświadczenia. Słownik terminów okultystycznych. Zł. 2.—.

FR. SZMURŁO: „Ze świata tajemnic“. — Spirytyzm. Okultyzm. Metapsychika. Komunikaty zaświatowe. Ewokacje zmarłych. Telepatja. Lecznictwo medjalne. Magnetyzm. Zdolności. Powodzenie w miłości. Leczenie wszelkich nałogów. Jasnowidzenie. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Praktyczny podręcznik Chiromancji (linje rąk), fizjognomika (rysy twarzy), astrologja (nauka wpływu gwiazd na losy), z ilustr. Zł. 3.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: „Spotęgowanie woli“. Jak zostać silnym i wyzwolonym człowiekiem. Zł. 1.50.

SZYLLER-SZKOLNIK. Z kim się ożenić. Jak poznać przyszłą żonę? Zł. 1.—.

SZYLLER-SZKOLNIK. Za kogo wyjść zamąż? Zł. 1.—.

KUTZ PR. Czy Nagość jest Grzechem i co to jest Całus Zł. 1.—.

PR. SZMURŁO: „Sen, jego symbolika i nadświadomość“. Sny prorocze. Jasnowidzenie we śnie. Sny pod wpływem narkotyków Lunatyzm. Letarg. Wspomnienia z poprzednich bytów. Spotęgowanie zdolności Przypomnienie zapomnianego. Zł. 2.—.

ST. A. WOTOWSKI: „Tajemnice życia i śmierci“. Życie pozagrobowe, siedm rozdziałów. Zł 1.50.

P. SZMURŁO: „Świat nadzmysłowy i metoda jego badania“. Zdolności nadnormalne. Zł. 1.—.

DR. WERNER: „Masaż“. Leczenie wszelkich chorób zapomocą mięsienia. Z 14-ma ilustracjami. Zł. 1.50.

JEZIORSKI WŁ. Wielki Śpiewnik Żołnierski z nutami, w opr. Zł. 1.20.

SCHREIBER M. Przewodnik Stolarski, wiadomości zwyczajnego i zbytkownego materjału i technologji mechaniczny z 146 ilustracjami — zł. 5.

KNEIPP SAB. Kodycyl do Mojego Testamentu dla Zdrowych i Chorych, w opr. zł. 8.—.

KEHREN FR. DR MED. W cztery oczy szkoła miłości małżeńskiej, ilustrowane Zł. 7.—.

SZYLLER-SZKOLNIK: Astrologja Kabalistyczna, ułożona na zasadzie rewelacji słynnego medjum M-lle Ewigny-Rara. Zł. 2.—.

WOTOWSKI ST.: Magja i Czary. Z dziedziny wiedzy tajemniczej. Zł. 2.50.

WALEWSKA JANINA: Sztuka Pamięci (Mnemonika). Zł. 1.—.

KLECKI LEON: Samouczek Gry w Szachy, ilustrowane. Zł. 2.—.

ROSENBLUM DR. Samogwałt u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Zł. 0.60.

NAJNOWSZE TAJEMNICE I ZAGADNIENIA CZARNEJ MAGJI: Hypnotyzm, Spirytyzm i Magnetyzm. Zł. 3.—.

SAMOUCZEK TAŃCÓW SALONOWYCH. Zł. 0.60.

SURBLED DR.: Sekretne sposoby małżeńskie. Zł. 0.60.

WESOŁY DRUŻBA: Pieśni weselne. Zł. 1.—.

WIELKI ILUSTROWANY SENNIK EGIPSKI. Zł. 1.20.

PROF. EMIL WYROBEK.

3) **NOWOŚĆ „Choroby Weneryczne“ NOWOŚĆ** ich skutki, znaczenie w życiu jednostki i społeczeństwa, tudzież sposoby leczenia i zapobiegania, **wydanie IV-te przerobione i powiększone z 22 rycinami, rok 1930, str. 200, cena wielka księga Zł. 6.—.**

1) **Alkoholizm i prostytucja,** obłęd opilczy upojenie patologiczne, dispomanja, alkoholizm wrodzony, neurastenja i samobójstwo. Morfinizm i kokainizm. Kult rozpusty. Reglementacja i abolicjonizm. Str. 225 ilustrowane. Cena 4.— zł.

2) **Choroby nerwowe i umysłowe.** Paraliż postępowy, wiąd rdzenia, melancholja, psychozy manjakalno-depresyjne, spaczenie umysłu z urojeniami, rozpad myśli, idjotyzm i głupota moralna. Onanizm. Neurastenja. Histerja i epilepsja. Str. 162 ilustrowane. Cena 4.— zł.

SZCZĘSNY MIŁOCIŃSKI. 1) Zbiór Toastów, z Okazji Chrzcin i Wesela oraz różnych mów, nadających się do wygłaszania podczas wielkich uroczystości, obchodów i zabaw rodzinnych, społecznych i patrjotycznych, ze znacznym uwzględnieniem tła ludowego i historycznego, str. 224, Zł. 2.—.

2) **Lilje, Osty, Stokrótki i Niezabudki, Wiązanka** symbolicznych wierszy, pięknych śpiewek, mądrych przysłów i aforyzmów, nadających się do wpisywania w pamiętniku lub wygłaszania przy rozmaitych zabawach i okolicznościach, str. 96, cena 80 gr.

3) **Wzornik do pisania listów miłosnych,** odnoszących się do różnych okoliczności, poruszający bardzo ważne tematy i zagadnienia aktualne. Str. 128, cena 1.20.